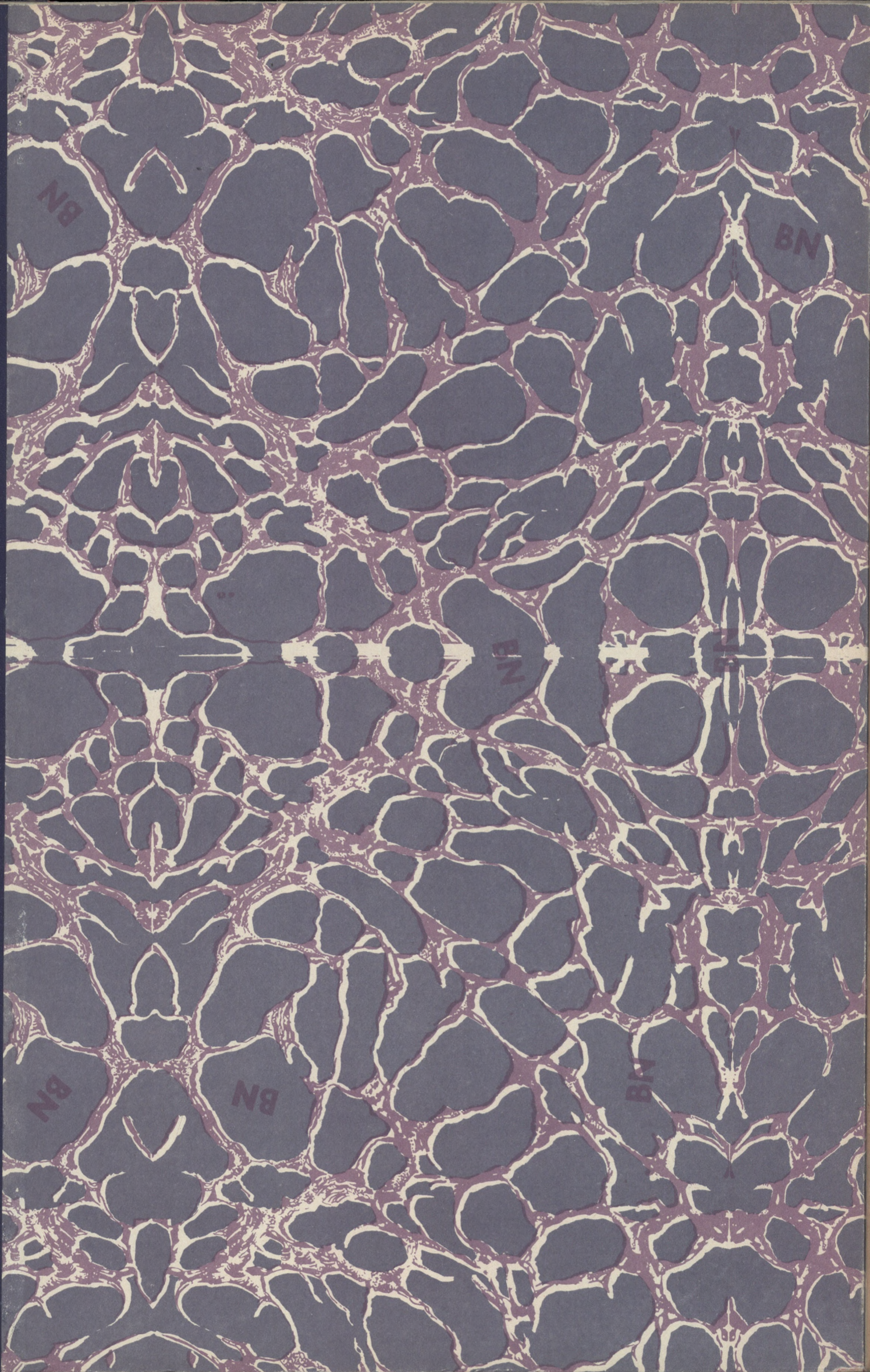
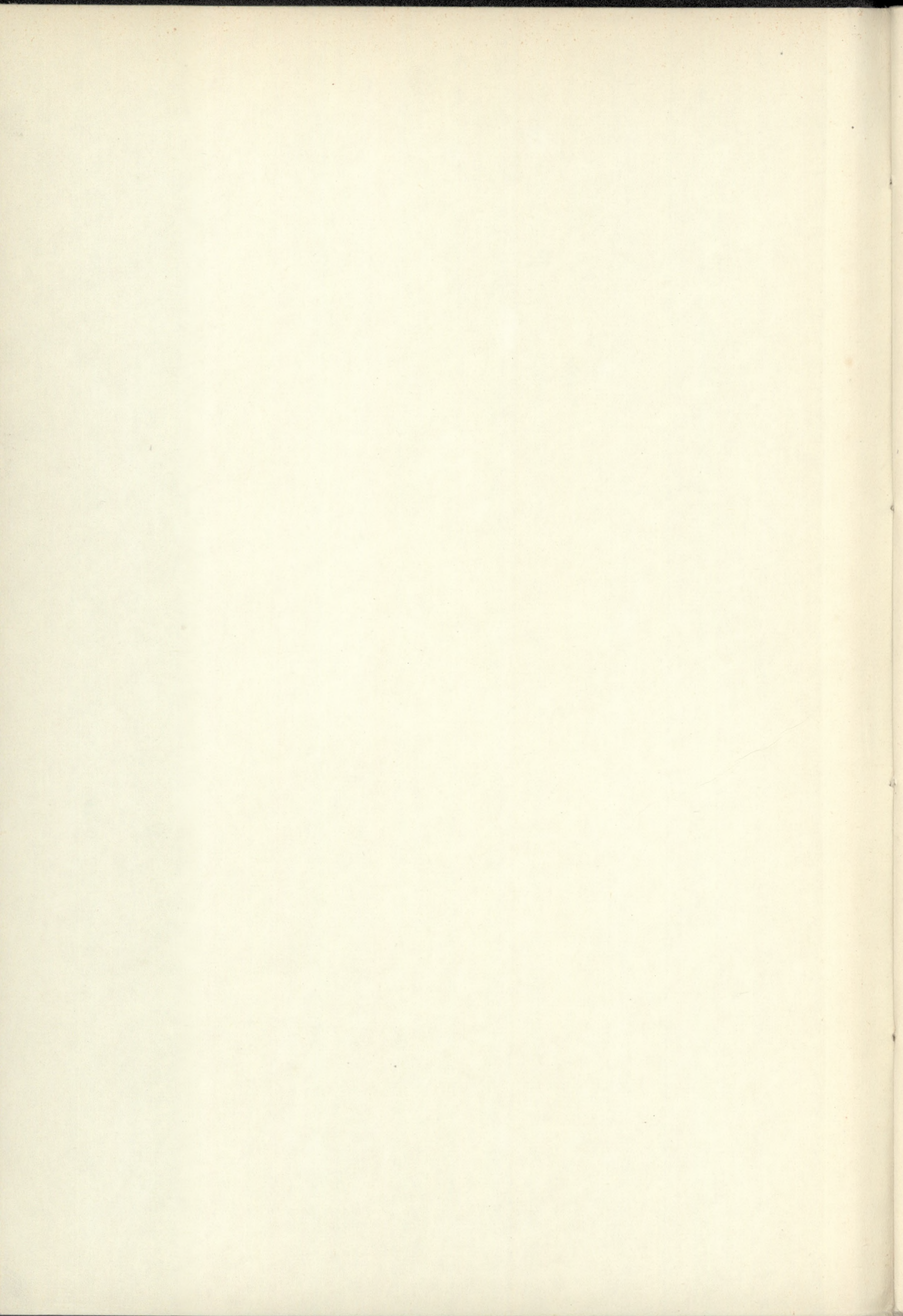


623406 \76







III 623:406/76

31800

TYGODNIK PRZYGOD I OPOWIADAŃ AWANTURNICZYCH.

NR. 76.

20 lipca 1939 roku.

CENA 10 GR

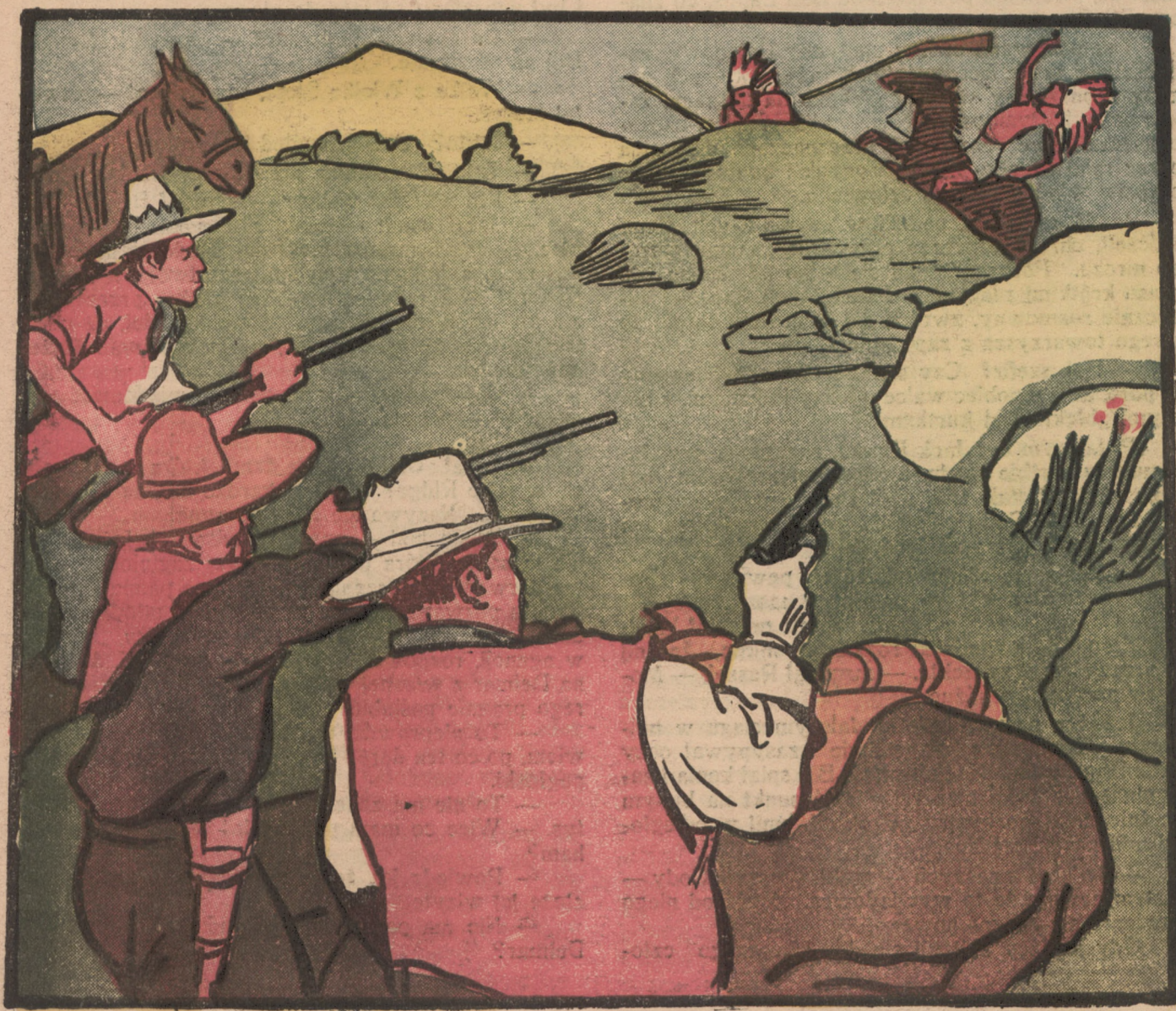
BUFFALO BILL

BOHATER DALEKIEGO ZACHODU



NIEZWYKŁE PRZYGODY PUŁKOWNIKA AMERYKANSKIEGO W. F. CODY'EGO

„PRZEKŁĘTE ZIEMIE”



BUFFALO BILL

BOHATER DALEKIEGO ZACHODU



Przeklęte ziemie

Bitwa pod Wounded Knee

Było to w dzień Nowego Roku, w mroźny i śnieżny poranek, na rozległych stepach Nebraski między osadą Rushville, a agencją indiańską, zwaną Pine Ridge. Dwóch jeźdźców gnało przez śnieżyste pustkowia co koń wyskoczy, kierując się ku obszarowi, zwanemu powszechnie Bad Lands, co znaczy Złe Ziemie.

Tak nazywano obszar pustynny i stepowy, zamieszkały przez hordy dzikich Indian, których zagony zapuszczały się stąd głęboko na obszary, zajęte przez białych osadników. Indianie nader często opuszczali swe rezerwy, przeznaczone dla nich przez rząd Stanów Zjednoczonych i buntowali się przeciw władzy białego człowieka.

Jeźdźcy, którzy pędzili w stronę Złych Ziem, milczeli, chroniąc twarze przed ukąszeniami ostrego mrozu. Porozumiewali się tylko od czasu do czasu krótkimi zdaniem. Jeden z nich, bardziej widocznie rozmowny, zwrócił się w pewnej chwili do swego towarzysza z zapytaniem:

— Hej, szefie! Czy sądzisz, że przybędziemy w porę, aby zapobiec walce między Indianami, a naszymi „blekitnymi kurtkami“?

Pytającym był Jack Russel, znakomity wywiadowca w służbie rządu, a jego towarzyszem był sam wielki Buffalo Bill, Król Prerii i dowódca wywiadowców. Cody odwrócił się w stronę swego młodszego towarzysza i odparł:

— Nie mogę ci powiedzieć nic pewnego. Robimy przecież wszystko, co jest w naszej mocy.

— Obawiam się, że Sępi Dziób nie przesłał Wielkiej Stopie odpowiednich rozkazów, mimo, że mi to uroczyście przyrzekł... — mruknął Russel. — Możemy przybyć za późno.

Jeźdźcy posuwali się w dalszym ciągu w milczeniu. Wicher wył straszliwie i zasypywał oczy pyłem śnieżnym. Nagle Buffalo Bill spiął konia i zatrzymał się, wskazując ręką jakiś punkt na białym tle śniegu. Jego bystry wzrok odróżnił w odległości mili postać jeźdźca.

— To ktoś z naszych — rzekł wreszcie Cody. — Jestem pewny, że to wywiadowca. Może od niego dowiemy się czegoś nowego.

Gdy jeźdźcy zbliżyli się do samotnego czło-

wieka, Jack Russel poznał przybysza.

— Masz słuszność, Bill! — rzekł. — To Ludwik Wioślarz, Metys!

Niebawem obaj wywiadowcy dotarli do Ludwika Wioślarza, który był potężnego wzrostu Metyssem o szczerym i rozumnym spojrzeniu. Miał na sobie strój napoły wojskowy, napoły cowboyski i był uzbrojony od stóp do głowy.

— Co nowego, Ludwiku? — zapytał Buffalo Bill na powitanie.

— Walka z Wielką Stopą rozpoczęta! — zawołał Metys.

— Jako? Pod Wounded Knee?

— Tak. Strzelanina już się rozpoczęła.

— Kto wszczął walkę? — zapytał Buffalo Bill.

— Jakiś osio! — rzekł z niesmakiem mieszaniec. — Jakiś dureń strzelił nie wiadomo poco na postrach, a Indianie natychmiast otworzyli ogień... General dwa razy ostrzegł ich głośno przez tubę, ale nic ich to nie obeszło. Strzelali dalej, aż miło. Oczywiście, że nasi chłopcy nie pozostawiali dłużni odpowiedzi...

— Czy jedziesz aby zawieźć tę wiadomość do agencji? — zapytał Cody.

— Tak.

— Acha! Czy znasz tę damę, która zatrzymała się w Pine Ridge? To jest bardzo bogata pani ze Wschodu. Nazywa się Mrs. Jernyngham.

— Wiem już! — zawołał Ludwik Wioślarz. — To ta sama, która poszukuje swej zaginionej, czy też porwanej siostrzenicy? Podobno panna Delmar została porwana przez Bawole Czoło, młodego wódza... Rodzina Bawolego Czoła, która została w agencji, rozpowszechnia nawet pogłoski, że panna Delmar z własnej woli pojechała z wodzem, którego pragnie poślubić.

— To nieprawda! — rzekł Buffalo Bill. — Nie wiem, po co ten dureń kazał rozsiewać tego rodzaju pogłoski.

— To nie ma znaczenia — rzekł obojętnie Metys. — Więc co mam powiedzieć tej pani Jernyngham?

— Powiedz jej, że w ciągu najbliższego czasu złożę jej wizytę.

— Nie ma pan żadnych wiadomości o Miss Delmar?

— Niestety, nie — rzekł ze smutkiem Buffalo Bill.

Ludwik Wioślarz zasalutował po wojskowemu i oddalił się galopem w stronę agencji indiańskiej. Dwaj wywiadowcy pomknęli teraz jeszcze szybciej, gdyż — skoro nie udało im się zapobiec walce — chcieli wziąć w niej przynajmniej udział.

Buffalo Bill posuwał się znów w milczeniu, a jego towarzysz pofolgował teraz językowi.

— A więc walka! — myślał głośno. — Niech i tak będzie. Teraz taniec rozpocznie się we wszystkich okolicach Złych Ziemi. Indianie rozzuchwalili się straszliwie i znów marzą im się dni wielkich wojen, skalpów i płonących osiedli... Ale co to?

— Szybko, przyjacielu! — zawołał w odpowiedzi Buffalo Bill. — To, co słyszysz, to nic innego jak terkotanie karabinów! Nasi chłopcy nie próżnują!

Konie pędziły teraz z wichrem w zawody, a gdy wywiadowcy dotarli na szczyt jednego ze wzgórz, ujrzeni przed sobą pole bitwy.

Kawaleria pod dowództwem majora Whiteside uderzyła z impetem na Indian i jeźdźcy wrogich oddziałów zmieszali się i zwarli w straszliwych zapasach. Tymczasem z prawego skrzydła zbliżała się piechota, którą kierował sam generał Forsyth, kilka plutonów rozsypało się już w tyralierę tuż przed oddziałami wroga, ale siła główna przygotowywała się dopiero do decydującego uderzenia.

Wywiadowcy indiańscy, którymi dowodził porucznik Taylor, zagrzani walką wysunęli się za bardzo do przodu i sytuacja ich stała się niebezpieczna.

— Tam musi być kapitan Jerzy Wallace! — zawołał Buffalo Bill. — Ten człowiek pcha się zawsze tam, gdzie jest najgoręcej... Poszukaj go, Jack!

Jack począł szukać wzrokiem wyniosłej postaci kapitana i po chwili zawołał:

— Patrz, Bill! Tam, tam!... To Wallace! Do stu tysięcy piorunów, to przecież szalowiec! Wpadł w najgorsze piekło... Walczy, jak tygrys!...

— Naprzód, stary! — zawołał Buffalo Bill. — Nie pozwolimy mu zginąć!

Dwaj jeźdźcy popędzili ze szczytu wzgórza wprost między Indian, gdzie walczył Wallace z garstką żołnierzy i indiańskich wywiadowców, przybranych również w mundury armii Stanów Zjednoczonych.

Z dwoma rewolwerami w ręku przedzierał się Buffalo Bill przez zastępy wroga. Wyrwał jakiemuś wojownikowi tomahawk i młóćąc nim na prawo i lewo, zbliżał się do kapitana Wallace. Obok niego walczył Jack Russel, szerząc spustoszenie w szeregach nieprzyjaciela.

Na widok Buffalo Billa żołnierze wydali okrzyk radości, a Indianie zawyli wściekle. Wiedzieli, że przybycie „wielkiego białego wodza“ jest dla nich nieszczęściem. Natomiast Indianie, pełniący służbę w szeregach wojska, powitali Codyego radosnym i strasznym zarazem okrzykiem wojennym.

Tymczasem kapitan Wallace był już u kresu sił. Buffalo Bill widział, że Indianie otaczają go ze wszystkich stron, wyjąc jak stado szatanów. Cody był już blisko kapitana, gdy nagle koń wywiadowcy stanął dęba i zwałił się na ziemię, trafiony kulą indiańską.

Buffalo Bill w ostatniej chwili zeskokczył na ziemię. Indianie rzucili się tłumnie w jego kierunku, sądząc, że uda im się wykorzystać chwilową przewagę, ale Buffalo Bill powalił jednym ciosem tomahawka jednego z wojowników i szybko skoczył na jego mustanga.

Kapitan Wallace zniknął Buffalo Billowi z oczu. Został przytłoczony masą wojowników, kłębiących się dokoła. Ale Buffalo Bill czuwał. W mgnieniu oka znalazł się obok kapitana i osłonił go własnym ciałem.

Jednocześnie żołnierze generała Forsytha spadli na Indian jak burza. Walka trwała zaledwie pół godziny, poczem Indianie wycofali się w popłochu, nie zważając na zachęcające okrzyki wodzów. Walka była skończona.

Żołnierze ścigali jeszcze Czerwonoskórych wśród pagórków, ale pościg był utrudniony z powodu śnieżycy i dowódcy nakazali cofnąć się. Generał Forsyth zbliżył się do Buffalo Billa i uściskawszy serdecznie jego dłoń, rzekł:

— Oczywiście, nie obeszło się bez Buffalo Billa. Cody walczy zawsze w pierwszym szeregu. Co się stało z Wallacem? Jest chyba ranny.

— Tak — odparł Buffalo Bill. — Zabrano go do lazaretu, ale życiu jego nie zagraża niebezpieczeństwo.

— To doskonale! — zawołał stary wojak. — Ale co pan sądzi, Cody, o ruchu wśród Indian? Czy dzisiejsza porażka nie nauczy ich niczego?

— Sądzę, że nie — rzekł poważnie Cody. — Teraz będą chcieli zemścić się za wszelką cenę. Nowina o dzisiejszej walce roznieś się po wszystkich wioskach i obozach indiańskich i wywoła prawdziwy paroksyzm wściekłości. Przypuszczalnie wszyscy wojownicy opuszczą w tajemnicy rezerwy i przyłączą się do tych, którzy już porwali za broń. Zresztą, nie chcę uprzedzać faktów, ale zamierzam przekonać się osobiście o ruchach Indian.

— Pan nie ma chyba zamiaru udać się sam na teren Złych Ziemi w takiej chwili? — rzekł generał. — Przecież to pewna śmierć...

— Właśnie zamierzam tam wyruszyć — rzekł spokojnie Buffalo Bill. — Przedtem jednak muszę złożyć wizytę w agencji indiańskiej w Pine Ridge.

— To szalony pomysł! — zawołał generał. — Czy generał Miles mówił panu o tym porwaniu? Słyszałem o jakiejś damie, która...

— Właśnie, generale. Tą damą jest pani Jernyngham, która przybyła do Pine Ridge, zaopatrzona w szereg listów polecających od wszystkich znakomitości z Waszyngtonu. Jest ona bardzo niespokojna o los swej siostrzenicy. Zresztą, to nie jest sprawa obecnie najważniejsza. Moim właściwym zadaniem jest odbycie rozmowy z Sępiem Dziobem, naczelnym wodzem Sjuksów. Postaram się wywrzeć na niego wpływ w tym duchu, żeby topór wojenny został ponownie zakopany. Stary wódz ma wpływy wśród plemienia i jego słowo znaczy bardzo dużo.

— Więc chce pan udać się do jaskini lwa Cody?

— To żarty, generale — odparł wywiawca spokojnie. — Wiem, że to będzie nieco ryzykowne, ale tu chodzi o sprawy bardzo ważne. Jeśli nie rozmówię się z wodzem, znów rozpocznie się walka i niepotrzebny rozlew krwi.

W drodze do Pine Ridge

General Forsyth wcale nie był przekonany, że Buffalo Bill musi udać się na niebezpieczną wyprawę, ale wiedział, że nie potrafi również przekonać Codyego. Gdy Buffalo Bill coś postanawiał, trudno było odwieść go od jego zamiaru.

— Niech pan jedzie, Buffalo... — mruknął wreszcie Forsyth. — Jeśli ktokolwiek na świecie może wywiązać się z tego zadania, to tylko pan. Ale przyznam, że boję się o pana. Chyba, że ten stary dran Sepi Dziób przyjmie pana przyjaźnie. Prawda, że ten łotr mieni się pańskim „czerwonoskórym bratem“, prawda, że ze względu na pana zgodził się zamieszkać wraz ze swym plemieniem w rezerwacie, ale teraz nastały takie czasy, że nie wiadomo. Kto wie, o czym myśli teraz Sepi Dziób i jego wojownicy, zwłaszcza młodszy.

— Szczęście sprzyja odważnym! — zaśmiał się Buffalo Bill. — Pojadę i spróbuję z nim porozmawiać. Narażałem się często na znacznie większe niebezpieczeństwa i jestem wciąż cały i zdrowy. Ale muszę już jechać. Przepraszam pana, generale, że przerywam tak miłą rozmowę.

— Niech pan zaczeka do rana — rzekł jeszcze general. — Jutro wracamy do agencji.

Buffalo Bill roześmiał się wesoło.

— Nie potrzebuję eskorty, generale! — zawołał. — Zawsze daję sobie radę.

— Jeszcze jedno pytanie, Cody — rzekł general. — Czy przypuszcza pan, że pogłoski, rozsiewane przez rodzinę Bawolego Czola są prawdziwe?

— Nie. To kłamstwa — odparł stanowczo Buffalo Bill. — Jestem najzupełniej pewny, że panna Delmar została porwana siłą. Zresztą, nie pojechałaby dobrowolnie z Bawolim Czolem i nie wyrażałaby chęci poślubienia go, gdyż jest zaręczona z pewnym młodym Anglikiem z dobrej rodziny. Wie pan, generale, że panna Delmar przybyła do Pine Ridge, aby uczyć dzieci indiańskie...

— Acha! — zawołał general. — Teraz wszystko rozumiem. Niech pan jedzie w imię Boże! Kto będzie panu towarzyszył? Przypuszczam, że Jack.

— Tak, Jack, a prócz tego Yankton Charley oraz Czerwony Tomahawk, nasz indiański wywiadowca. Ci dwaj ostatni znajdują się obecnie na terenie Złych Ziemi, ale przypuszczalnie spotkam się z nimi w agencji.

Po chwili Buffalo Bill i Jack Russel znów galopowali przez śnieżystą pustynię, kierując się tym razem w stronę Pine Ridge. Po pewnym czasie na horyzoncie ukazał się jakiś jeździec, który na widok dwóch wywiadowców począł dawać im znaki ręką.

— To Yankton Charley! — zawołał Buffalo Bill. — Dobrze, że go tu spotykamy!

— Jedźmy do niego! zawołał Jack.

Po chwili trzech jeźdźcy powitali się wzajemnie z radością.

— Czy słyszałeś o walce pod Wounded Knee? — zapytał Cody.

— Jakżebym mógł nie słyszeć! — zawołał z humorem Charley. — Spotkałem na drodze wielu uciekinierów z pola bitwy. Byli w bardzo złym humorze i poczęstowali nawet nieco mojego konia. Patrzcie!

Istotnie, koń Charleya był poraniony, a w boku tkwiły mu resztki strzał indiańskich.

— Hm!... — mruknął Jack Russel. — Wydaje mi

się, że powiedziałeś panom Indianom grzecznie dzień dobry!

Charley nie raczył nawet odpowiedzieć. Przed trzema dniami został on wysłany do Złych Ziemi z oficjalną misją rządową. Jednocześnie miał zdobyć pewne poufne wiadomości specjalnie dla Buffalo Billa.

Misja rządu polegała na zbadaniu ruchów Indian, co nie stanowiło już żadnej tajemnicy po ich otwartym wystąpieniu. Co zaś do sprawy, którą obarczył Charleya Buffalo Bill, dotyczyła ona panny Delmar. Charley wyjaśnił Buffalo Billowi, że dziewczyna została istotnie porwana przez Bawole Czolo i że znajduje się ona obecnie w obozie Indian, dobrze umocnionym i ufortyfikowanym, którego zdobycie byłoby sprawą bardzo trudną.

— To wszystko, czego się mogłem dowiedzieć zakończył Charley. — Wydaje mi się, że w namiocie Bawolego Czola znajdowała się jeszcze jedna biała kobieta, ale niestety, nie mogłem się dowiedzieć, kim ona jest i w jaki sposób tam się dostała.

— Dziękuję ci, Charley — rzekł Buffalo Bill. — Te wiadomości przydadzą mi się napewno. A co słychać z Czerwonym Tomahawkim? Czy widziałeś go?

— Owszem, nawet z nim rozmawiałem. Czerwony Tomahawk myszkował sobie po Złych Ziemiach jak jamnik w kretowisku. Widziałem go przed dwoma zaledwie godzinami. Aha! Mam coś dla ciebie od niego, Bill!

Charley podał Buffalo Billowi zmięta kartkę i rzekł:

— Czerwony Tomahawk dostał to od Jackforda, któremu wręczyła tę kartkę dla ciebie adoptowana córka starego wodza. To może być ważna sprawa.

Buffalo Bill przeczytał szybko kartkę i zawołał:

— To bardzo ważne wiadomości... Podobno Indianie przygotowują się do walnej rozprawy z nami. Dobrze wiedzieć. Ale jedźmy dalej, bo tu zmarzniemy!

Trzej jeźdźcy popędzili teraz razem w kierunku agencji Pine Ridge. Posuwali się w milczeniu. Dopiero po przebyciu około dwudziestu mil, Charley zaryzykował przerwanie ciszy.

— Niedługo będziemy w Pine Ridge — rzekł. — Już od kilku dni marzę o ciepłym piecu w agencji. Przemarzłem już na wylot...

Nagle rozległ się huk strzału i koń Charleya zwałił się na ziemię.

— Zasadzka! — zawołał Buffalo Bill. — Na ziemię, chłopcy!...

Wywiadowcy przypadli natychmiast do ziemi, trzymając broń w pogotowiu. Nie wiedzieli jeszcze skąd padł strzał i rozglądali się dokoła, nie chcąc dać się zaskoczyć. Wreszcie Cody wydał cichy okrzyk. Jego towarzyszom nie trzeba było pokazywać celu. W odległości kilkunastu zaledwie kroków widać było ukrywające się za zwałami śniegu jakieś ciemne postacie.

Trzy karabiny przemówiły jednocześnie. Odpowiedziały im nieludzkie wrzaski Indian, którzy nie spodziewali się, że trzech białych dadzą im taką odprawę. Jeszcze chwila i kilku wojowników indiańskich szybko dosiadło ukrytych za zaspami koni i rzuciło się do ucieczki.

Wywiadowcy nie ścigali ich. Trzej z pośród Indian byli ranni. Jeden z nich został wciągnięty na

stodło towarzysza, gdyż nie potrafiłby samodzielnie dosiąść konia. Ponieważ Charley stracił swego konia, rzucił się w kierunku indiańskiego mustanga, chwycił go za uzdę i pędem prowadził do swoich.

— Teraz możemy jechać dalej! — oświadczył z zadowoleniem.

Trzej jeźdźcy pomknęli co koń wyskoczy naprzód i niebawem na horyzoncie ukazały się zabudowania agencji w Pine Ridge. Po chwili trzy rymaki zatrzymały się przed budynkiem agencji i wywiadowcy weszli do wnętrza.

Po krótkim wypoczynku Buffalo Bill udał się do pani Jernyngham, która w najwyższym podnieceniu oczekiwała wiadomości o swej siostrzenicy.

— Otrzymałam wiadomość od pana, pułkownika Cody — rzekła na powitanie dama. — Przekazał mi ją pan Wioślarz... Czy to prawda, że niedawno rozegrała się wielka bitwa z Indianami?

Buffalo Bill potwierdził. Czuł się dość nieswojo w towarzystwie tej damy, której wspaniała jedwabna suknia byłaby raczej odpowiednia w nowojorskim salonie, niż w tej placówce cywilizacji na Dzikim Zachodzie.

Aby zrozumieć dokładnie powody przybycia tej czcigodnej damy do Pine Ridge, należy przypomnieć smutną historię Bianki Delmar. Panna Delmar przybyła w towarzystwie jeszcze kilku równie niedoświadczonych i pełnych zapалу młodych osób do agencji indiańskiej, aby uczyć dzieci Indian.

Dzieci bardzo lubiły białą squaw, która opiekowała się nimi i Bianka była bardzo szczęśliwa. Pewnego dnia gruchnęła po okolicy wieść, że panna Dehmar zniknęła w tajemniczy sposób. Było to na kilka dni przed bitwą pod Wounded Knee, a więc w czasie, gdy nikt nie miał jeszcze pojęcia o wykopaniu topora wojennego przez Sjuksów.

Domyslano się, że dziewczyna została porwana przez młodego wodza Indian, Bawole Czoło. Był to młody łajdak, posiadający pewne wykształcenie i oglądę towarzyską. Uchodził wśród białych za wielkiego przyjaciela „błędnych twarzy” a Indianie szanowali go za jego spryt i przemyślność.

Nie ulegało wątpliwości, że Bianka Delmar została porwana przez zdradzieckiego Indianina podczas jednej ze swych wizyt w obozie indiańskim.

Pani Jernyngham, ciotka i opiekunka dziewczyny, została powiadomiona telegraficznie o porwaniu Bianki i natychmiast przybyła na Daleki Zachód, mimo podeszłego wieku i trudności komunikacyjnych.

Dzielna matrona poruszyła niebo i ziemię, aby uzyskać od rządu pomoc w odnalezieniu porwanej dziewczyny. Obecnie Buffalo Bill sam zabrał się do dzieła, mimo, że miał znacznie ważniejsze sprawy do załatwienia.

Cody skłonił się głęboko przed panią Jernyngham i rzekł:

— Niestety, to co pani słyszała o walce pod Wounded Knee jest prawdą. Byłem naocznym świadkiem tej bitwy. Zapewniam panią jednak, że niepokoje wśród Indian nie mogą wpłynąć absolutnie na los panny Delmar.

— Dzięki Bogu! — zawołała matrona. — Moje biedne dziewczątko... Bianka jest taka delikatna i pomyśleć tylko, że znajduje się teraz, w taki trzaskający mróz w wigwamie indiańskim, wśród tych strasznych dzikusów... To jest po prostu „shoking”!

Buffalo Bill wyjaśnił w kilku słowach, że zamierza natychmiast udać się na poszukiwanie panny Bianki. Dama nie tała zdumienia i niepokoju.

— Jakto? Więc pan zamierza udać się prawie samotnie na tak niebezpieczną wyprawę? — zawołała. — Ja sądziłam, że cała ekspedycja wojskowa uda się do obozu Indian...

Buffalo Bill uśmiechnął się.

— Proszę się nie niepokoić, mrs. Jernyngham — rzekł spokojnie. — Wymarsz oddziału wojskowego nie przydałby się na nic. Muszę działać nie siłą, lecz podstępem i chytrą. Zresztą, nie pojedę sam, lecz w towarzystwie kilku przyjaciół, wśród których znajduje się również nasz najlepszy indiański wywiadowca, Czerwony Tomahawk. Zna on Złe Ziemie na wylot i odda mi nieocenione usługi. Muszę go jednak przede wszystkim odnaleźć, gdyż nie powrócił jeszcze z ostatniej wyprawy i obawiam się, że wpadł w ręce Sjuksów, którzy uważają go za swego największego wroga. Przypuszczam, że do jutra rana Czerwony Tomahawk będzie na miejscu. Wypocznie nieco, a potem ruszymy w drogę.

— W tym czasie powinien przyjechać tu pan Tom Travers, narzeczony mojej siostrzenicy, który również weźmie udział w wyprawie. To bardzo dzielny człowiek i niewątpliwie stanie na czele ekspedycji. To bardzo doświadczony podróżnik, który walczył wielokrotnie z dzikimi ludami w Afryce i Azji. Jest on oficerem angielskim i wielkim myśliwym...

— Doskonale — rzekł Buffalo Bill. — Zobaczmy, czy ten młodzieniec będzie nam się mógł przydać. Muszę jednak zaznaczyć, że Arabowie, to nie są Sjuksowie. Zresztą, przekonamy się.

Pani Jernyngham była nieco dotknięta sceptycyzmem Buffalo Billa, który nie mógł powstrzymać uśmiechu. Znał on dobrze tych europejskich elegantów, którzy polowali w Afryce w towarzystwie licznej służby, a potem uważali się za największych podróżników. Co innego było podróżować wygodnie po koloniach w Afryce i Indiach, a co innego przedzierać się w małej grupie przez Złe Ziemie, gdzie kotłowało się od żadnych walki i skalpów Czerwonoskórych.

Zdrada Sepiego Dzioba

Czerwony Tomahawk nie wracał. Następnego ranka z agencji indiańskiej wyjechał niewielki, ale dobrze uzbrojony oddział pod wodzą Buffalo Billa. Generał Milos, komendant agencji, stał w towarzystwie pani Jernyngham na ganku domu i żegnał odjeżdżających.

— Czy przypuszcza pan, generale, że ci ludzie spełnią swoje zadanie? — zapytała matrona.

— Trudno mi na to odpowiedzieć, — rzekł stary wojak. — Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi! Można mieć najpiękniejsze zamiary i nie wykonać ich z powodu głupiego kawałka ołowiu. My, żołnierze, znamy to dobrze.

Tymczasem oddział kawalerii pod dowództwem Codygo oddalał się zwolna w prerię, pokrytą śniegiem. Na czele posuwał się Buffalo Bill w towarzystwie Jacka Russela i Charley Yangtona.

Nagle wywiadowcy zatrzymali się. Buffalo Bill wydał lekki okrzyk i wyciągnął przed siebie rękę. W odległości zaledwie pół mili posuwały się od-

działy wojskowe, zmęczone jeszcze walką. Wozy z amunicją wysunęły się nieco naprzód.

Spoza jednego ze wzgórz wyjechał nagle silny oddział jeźdźców indiańskich, którzy pomknęli galopem w stronę konwoju z amunicją, pragnąc odciąć go od reszty wojska.

— To Sępi Dziób ze swymi wojownikami! — zawołał Buffalo Bill.

— Tak, to on! — dodał Charley. — Znam dobrze ten podwójny pióropusz... Stary łajdak wiedział się już o bitwie i wyruszył natychmiast w pole ze swymi wojownikami...

— Damy mu po łapach! — zawołał Jack Russel wesoło.

— Jack! — zakomenderował Buffalo Bill. — Pędź natychmiast do naszych i uprzedź ich, że Indianie atakują konwój z amunicją... Nasi chłopcy są za wzgórzem i nie widzą Sjuksów.

Młodzieniec ruszył naprzód z kopyta, a Charley rozdziawił usta, nie wiedząc, co Buffalo Bill zamierza uczynić.

— I cóż, Buffalo? — zapytał. — Czy zaatakujemy we dwójkę całe plemię?

Cody nie odpowiedział ani słowa, lecz pomknął w stronę konwoju. Wiedział, że Sępi Dziób złożył mu przysięgę, iż nigdy nie zaatakuje białych twarzy. Teraz Cody chciał go schwytać na gorącym uczynku.

— Za późno! — zawołał nagle Buffalo Bill z gniewem. — Już zaatakowali konwój... Przeklęte diabły!

Gdy Buffalo Bill dotarł do miejsca, gdzie walczyli zaciekle Indianie z eskortą konwoju, wozy z amunicją były już w ręku Sjuksów. Indianie zamierzali się teraz szybko wycofać z łupem.

Ale w tej samej chwili Buffalo Bill wpadł między dzikich jak bomba. Za nim zjawił się Charley i reszta oddziału. Biali byli bardzo nieliczni, ale walczyli jak lwy. Wiedzieli, że Jack nadjedzie zaraz w towarzystwie wojska.

Sjuksowie wydali okrzyk wojenny i zwarli się w walce z nowymi przeciwnikami, lekceważąc białych, z powodu ich małej liczby. Ale po chwili rozległa się trąbka wojskowa i z drugiej strony uderzył z inpetem oddział, sprowadzony przez Jacka.

Walka trwała teraz krótko. Indianie porzucili łup i poczęli zmykać jak zające, kierując się w stronę Złych Ziem. Buffalo Bill rzucił się na czele kilkunastu ludzi w pościg. Dostrzegł w pobliżu umykającego wodza i zawołał grzmiącym głosem:

— Stój, psie!

— A więc tak wielki biały wódz traktuje swego przyjaciela? — zawołał Indianin.

— Złamałeś przyrzeczenie i odpokutujesz za to! — zabrzmiał głos Buffalo Billa.

— Ugh! — zawołał drwiąco Sępi Dziób. — Kiedy i gdzie biała twarz chce zmierzyć się za mną!?

— Na Złych Ziemach jeszcze przed upłynięciem tego tygodnia!

Cody spał konia i rzucił się w kierunku wodza, ale ten pochylił się na siodle i począł tak popędzać konia, że nie sposób było go doścignąć.

Konwój z amunicją oraz oddziały wojskowe pojechały dalej w kierunku Pine Ridge, a Buffalo Bill i jego mały oddział kawalerii podążyli dalej w kierunku Złych Ziem. Nagle Cody usłyszał w oddali pieśń indiańską, jaką Czerwonoskórzy nuca zwykle podczas uśmiercania wroga przy pału meczarni. Oddział Codyego zbliżył się ostrożnie i Buffalo Bill uj-

rzwał, że wielka grupa wojowników otacza pal meczarni, do którego przywiązany był Czerwony Tomahawk.

Wywiadowca indiański znajdował się właśnie na Złych Ziemach, gdy rozgrywała się bitwa pod Wounded Knee. Nie wiedział on o bitwie i wpadł w ręce uciekających i rozwścieczonych kłeską Indian, którzy natychmiast zamierzali go stracić w meczarniach.

Oddział Buffalo Billa zjawił się w ostatniej niemal chwili. Cody dał znak i na Indian spadł istny grad kul. Po krótkiej walce, zakończonej porażką i gromadną ucieczką Sjuksów, Czerwony Tomahawk został uwolniony.

Dano mu zapasowego konia i cały oddział popędził co koń wyskoczy z powrotem w stronę Pine Ridge. Okolica pełna była Indian i należało teraz unikać spotkania z nimi. Czerwony Tomahawk był uratowany, a o to właśnie chodziło.

Dzielny Indianin nie był wcale wzruszony. Uśmiechnął się tylko lekko do swego białego wodza i przyjaciela Buffalo Billa i skinieniem głowy podziękował za ocalenie. Jako prawdziwy wojownik nie lękał się śmierci i był w każdej chwili gotów zginąć, jak na męża przystało.

P rucznik Tom Travers

Gdy oddział Buffalo Billa wrócił do agencji, wywiadowcy oznajmiono przybycie Toma Traversa, narzeczonego panny Delmar. Cody udał się natychmiast do pani Jernyngham, gdzie zastał przybysza.

Był to młodzieniec nader wysokiego wzrostu o pospolitej i niezbyt mądrej twarzy, ale bardzo pewny siebie i ubrany tak, jakby przed chwilą opuścił magazyn mód. Nie podobał się zupełnie Buffalo Billowi, który znał się na ludziach i od razu zrozumiał, że ma do czynienia z pyszałkiem.

Nie ulegało wątpliwości, że młodzieniec mógł być dobrym oficerem, ale było rzeczą jasną, że nie nadaje się w zupełności do życia i walki na Zachodzie.

Pani Jernyngham, która była w nastroju bardzo podniosłym, przedstawiła panów wzajemnie.

— Oto pan pułkownik William Cody — rzekła uroczyście. — Będzie bardzo szczęśliwy, jeśli będzie mógł wziąć udział w wyprawie pod twoim kierownictwem, Tomie.

Buffalo Bill z trudem powstrzymał uśmiech i skłonił się lekko przed młodzieńcem.

— Bardzo mi przyjemnie! — rzekł Tom przez nos, spoglądając na wywiadowcę z góry i przez monokl. — Zdaje się, że nazywają pana Buffalo Billem? Bardzo ładne przezwisko... Ha, ha!... To brzmi nieco śmiesznie... W ogóle jestem wesołym człowiekiem, panie... tego Co... Cob...

— Cody — rzekł grzecznie Buffalo Bill.

— Właśnie, Cody... Więc powiadam, że jestem bardzo wesołym człowiekiem... Ludzie mówią, że na sam mój widok pękają ze śmiechu. To bardzo wesołe, prawda?

— Tak, to niezmiernie wesołe — rzekł poważnym tonem Cody, choć w duchu również „pękał ze śmiechu”. — Ale pomówmy poważnie. Chcemy wyruszyć jak najwcześniej, a pan jest chyba zmęczony. Może pan w takim razie zostanie w agencji?

Na dostojnym obliczu pani Jernyngham pojawił się wyraz oburzenia, a Tom Travers zawołał buńczucznie:

— Nigdy! Sam oswobodzę moją narzeczoną z rąk tych dzikusów! Przypuszczam, że nie są tacy straszni, jakby to się na pierwszy rzut oka wydawało. Czy mamy się obawiać tej bandy Indian? Przecież to nie są godni mnie przeciwnicy! Przecież to śmieszne, panie Cody Buffalo...

— Buffalo Bill — poprawił z uśmiechem wywiadowca. — Buffalo znajduje się zawsze przed Billelem.

— To bardzo śmieszne! — zawołał przez nos Anglik. — Muszę to zanotować... Buffalo zawsze przed Billelem... Ha, ha, ha!

Buffalo Bill krztusił się ze śmiechu, ale usiłował opanować się i zachować powagę. Ten młodzieniec był niesłychanie śmieszny ze swoją pewnością siebie i fanfaronadą. Nie zdawał sobie absolutnie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie na każdym kroku groziło tu, na najdalszej granicy Zachodu.

— Kiedy wyruszamy? — zapytał Tom Travers wyniosłym tonem. — Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, gdzie znajduje się moja narzeczoną, a potem uderzymy na Indian i rozbijemy ich w puch.

— Wspaniała metoda — rzekł tym samym poważnym tonem Buffalo Bill. — Wpada pan do obozu Indian, strzela pan na wszystkie strony i sprawa załatwiona. A Sjuksowie będą musieli zachować się bardzo spokojnie, a to im się na nieszczęście bardzo rzadko zdarza.

— To nie ma znaczenia... Przecież z lwami jest tak samo. Spotykam lwa, patrzę na niego przenikliwie, strzelam i bestia leży martwa na ziemi.

— Ze Sjuksami jest nieco inaczej, panie Travers — rzekł Cody. — Oni mają tę przewagę nad lwami, że strzelają również i to wcale nieźle, zapewniam pana. Ale nie o to chodzi. Wyruszymy jutro rano. Będzie nas sześciu wraz z panem.

— Sześciu? — przeraził się młodzieniec. — A jeśli wpadniemy na dwudziestu Indian?

— Będziemy się bronili. Każdy z nas będzie musiał dać 25 strzałów, a więc sześciu ludzi to wcale nie za mało.

— To... to chyba drwiny! — zawołał oburzony Tom Travers. — Przecież tak nie można prowadzić wojny!

— My prowadzimy wojnę nieco inaczej, niż wy — rzekł Buffalo Bill. — Musi pan przywyknąć do naszych warunków. Niech pan przygotowuje się do wyprawy. Zabierze pan ciepłą odzież, zapas amunicji i manierkę whisky.

— Pijam zazwyczaj herbatę — rzekł Anglik. — Zabiorę chyba mój nowy samowar. Jako dowódca wyprawy, zasługuję chyba na względy.

— Buffalo Bill pożegnał się szybko, gdyż czuł, że jeśli pozostanie jeszcze chwilę w towarzystwie Toma Traversa, wybuchnie mu śmiechem prosto w twarz. Gdy Cody opuścił pokój, Tom zwrócił się do pani Jernyngham:

— Jestem rozczarowany... Przecież ten Buffalo Bill nie ma pojęcia, jak walczyć z Indianami. Ja im już pokażę!

Wywiadowcy przy pracy

Buffalo Bill odnalazł swych towarzyszy w domu, zbudowanym z solidnych kłód drzewa. Dom ten, który służył wywiadowcom za kwaterę, leżał nieco na uboczu, w odległości kilkudziesięciu metrów od innych zabudowań agencji.

Yankton Charley i Ludwik Wioślarz zajęci byli właśnie rozpaleniem ogniska i przyrządzaniem po-

silku. Jack Russel i Czerwony Tomahawk siedzieli wygodnie przy stole i czyścili broń. Gdy Cody wszedł do pokoju, wszyscy spojrzeli na niego pytającym wzrokiem.

— Hej, chłopcy! — zawołał na powitanie Cody. — Wyruszamy jutro pod dowództwem znakomitego porucznika armii angielskiej Toma Traversa, Ten obiecujący młody człowiek oświadczył mi, bardzo zresztą delikatnie, że nie mam pojęcia o walce z Indianami. Obiecał, że udzieli nam wszystkim kilku lekcji.

Wywiadowcy spojrzeli ze zdumieniem na swego przywódcę. Nie zorientowali się, czy Buffalo Bill mówi poważnie, czy też żartuje.

— Ugh!... — mruknął wreszcie Yankton Charley. — Więc ten zbabiały smarkacz też z nami jedzie?

— Ależ, Charley! — oburzył się z komiczną powagą Buffalo Bill. — Jak możesz tak nazywać wielkiego pogromcę derwiszów, Arabów, lwów, tygrysów i słoni! On nam pokaże, jak walczyć z Indianami. Zabierze na wyprawę trzech służących, kilka wozów z żywnością, wiele ciepłych futer oraz... samowar!

Wywiadowcy wytrzeszczyli na Buffalo Billa zdumione oczy, a potem wybuchnęli chóralnym i grzmiącym śmiechem, od którego trzęsły się ściany domu.

— Uspokójcie się, chłopcy — rzekł poważnie Buffalo Bill. — Powierzyłem panu Traversowi dowództwo i los nasz jest w jego rękach. Czasy są ciężkie, jak wiecie, nie zaszkodzi nam więc trochę zdrowego śmiechu.

— Jeśli ten durny młodzik stanie na czele wyprawy, nie dam złamanego centa za wszystkie nasze skalpy! — zawołał Jack Russel.

— Przypuszczam, że jego dowództwo nie potrwa długo — rzekł Cody. — Będzie mu za zimno i niewygodnie. Prawdopodobnie wróci czym prędzej do agencji. Generał Miles również nie jest zachwycony tym młodzieńcem. Zresztą, przekonamy się, co będzie jutro.

— A teraz zjedzmy coś... — mruknął Czerwony Tomahawk, który odznaczał się niebywałym apetytem i patrzył teraz pożądliwie w stronę garnka. — Wojownik czuje głód w swym brzuchu.

— Zaraz go napełni — odparł tym samym stylem Charley. — Kawa już się gotuje! Bacność chłopcy! Zaczynamy!...

Przez dłuższą chwilę panowało w chacie zupełne milczenie, przerywane tylko smakowitymi mlaskaniem Czerwonego Tomahawka. Wreszcie, gdy ukończono posiłek, Buffalo Bill zabrał głos:

— Musimy przetrząsnąć namioty indiańskie w rezerwacie i dowiedzieć się czegoś bliższego o losie porwanej dziewczyny.

— Ugh! — mruknął grubym głosem Charley. — Przetrząsnę namioty Czejenów, a ty, Ludwiku, będziesz szukał wiadomości w wawozie.

— A ja wybadam Małego Psa, który jest wujkiem Bawolego Czoła — rzekł Czerwony Tomahawk

Po chwili w chacie pozostali tylko Buffalo Bill i Jack Russel.

— Teraz na nas kolej, Jack — rzekł Buffalo Bill. — Bierz karabin i w drogę...

— Dokąd idziemy?

— Niedaleko. W pobliżu znajduje się obóz Indian, w którym mieszkają matka Bawolego Czoła

Jego kulawa siostra. Pozostały tam podczas gdy Bawole Czoło i jego najęźsi wojownicy uciekli na Złe Ziemie.

Było już ciemnowo, gdy obaj wywiadowcy ruszyli w drogę. Za nimi błyskały ogniska biwaków wojskowych. Po pewnym czasie ogniska te znikły i dokoła wywiadowców rozciągała się zaśnieżona pustynia.

Obóz, do którego zmierzali, znajdował się w samym środku rezerwatu Indian. Posuwali się szybko, bo mróz stawał się coraz silniejszy.

Dokoła obozu panowała zupełna cisza, ale Buffalo Bill wiedział, że Indianie są bardzo wzburzeni ostatnimi wypadkami i że nie należy nikomu ufać. Było bardzo możliwe, że dokoła obozu krążyli wysłannicy zbuntowanych przeciwko białym wodzom.

Wreszcie obaj wywiadowcy dotarli do obozu. Na środku, pomiędzy wigwamami, płonęło ognisko, przy którym zgromadziło się prawie całe plemię. Mimo mrozu i śnieżyca nikt nie chciał ukryć się w namiocie. Wszyscy siedzieli indiańskim zwyczajem przy ognisku.

Gdy Buffalo Bill ukazał się w obozie, powitał go przyjazny pomruk. Wszyscy znali go i lubili za jego wielkoduszność, męstwo i wspaniałomyślność. Bystre oko wywiadowcy dostrzegło jednak w spojrzeniu kilku wojowników jakieś dziwne błyski.

— Ci uciekną niebawem... — pomyślał Buffalo Bill.

Cody miał po drodze wojowników, squaw i dzieci. Witał się ze wszystkimi krótkim słowem i skinieniem głowy, ale nie zatrzymywał się. Obaj wywiadowcy kierowali się wzdłuż rzędu namiotów, tworzących rodzaj wąskiej uliczki.

— Powinni być zadowoleni... — mruknął Cody do swego towarzysza. — Dostali dopiero od rządu zapasy suszonego mięsa, gdyż zima jest bardzo surowa. Ich wigwamy są pełne żywności... Posłuchaj: kilku wojowników śpiewa, choć nie są pijani. Muszą być bardzo radzi, gdyż Indianin jest z natury raczej milczący i ponury.

Wreszcie wywiadowcy znaleźli się obok wielkiego ogniska, przy którym zgromadziło się wiele osób. Wszyscy byli owinięci w oponcze i płachty, które chroniły przed zimnem. Buffalo Bill skłonił się przed starcem, który był najstarszym wodzem i zajmował najlepsze miejsce przy ognisku.

Był to człowiek pochylony i osłabiony wiekiem, ale jeszcze bardzo rzeźki. Zamienił on z Buffalo Billem uścisk dłoni i zaprosił go do ogniska.

— Twój ludzie zdają się być zadowoleni, Czerwona Chmuro? — rzekł pytająco Buffalo Bill.

Indianin skinął głową i rzekł:

— Wojownik jest szczęśliwy, gdy ma wigwam, ciepłe ognisko i dużo jedzenia.

Wódz podał Buffalo Billowi fajkę, która następnie obeszła ognisko dokoła. Każdy pociągał kilka łyków dymu i przekazywał „fajkę pokoju” sąsiadowi.

— Czemu Czerwona Chmura nie udaje się do swego ciepłego wigwamu, lecz siedzi na mrozie przy ognisku? — zapytał Buffalo Bill.

— Wódz musi dzielić niewygody swego plemienia — odparł poważnie Indianin. — Nie wszyscy posiadają tak wygodne wigwamy, jak ja.

— Oni są jeszcze młodzi, a ty, wodzu, jesteś już pochylony wiekiem.

Wódz roześmiał się krótko.

— Czerwona Chmura jest stary — rzekł, — ale drwi sobie z niewygody i śniegu. Schronienie w wigwamie dobre jest dla squaw i dzieci.

— Jesteś wielkim wodzem! — rzekł uroczyście Buffalo Bill, chcąc zrobić przyjemność starcowi. — Przybyłem do twego obozu, aby pomówić z Choctaw-rech, matką kulawej Molk-wah-kee, która jest siostrą Bawolego Czoła. Gdzie możemy znaleźć te kobiety?

Jedna z kobiet wskazała Buffalo Billowi namiot należący do matki i siostry Bawolego Czoła. Wywiadowcy ruszyli w drogę. Nagie doszedł ich jakiś dziwny odgłos i kazał im się zatrzymać. Z jednego z wigwamów rozlegał się śpiew indiańskiej squaw. Buffalo Bill znał dobrze tę pieśń, w której brzmiał gniew, rozpacz, trwoga, a potem dzikie, wojenne okrzyki.

Była to pieśń wojenna plemienia. W mgnieniu oka dokoła namiotu, z którego rozlegał się śpiew, zgromadzili się liczni wojownicy, którzy natychmiast poczuli wykonywać taniec wojenny.

— To prawdziwa diablica... — mruknął Buffalo Bill. — Jest ona przybraną córką starego wodza i wywiera niezwykle silny wpływ na wojowników. Uważają ją za czarownicę... Prawdopodobnie jest ona w znowiu z buntownikami. Wojownicy są teraz zajęci i nie zauważą nas. Szybko, do namiotu starej matki Bawolego Czoła.

W wigwamie znajdowała się tylko stara Choctaw-rech w towarzystwie jeszcze dwóch starych squaw. Malk-wah-kee nie było. Buffalo Bill dowiedział się, że udała się ona do jednego z najdalej położonych wigwamów do chorej Indianki.

— Zostań tu, Jack... — szepnął Buffalo Bill. — Postaraj się dowiedzieć czegoś od tych hab... Ja udam się do siostry Bawolego Czoła...

— Niech i tak będzie, Bill... — mruknął kwaśno Jack. — Może mi się uda.

Buffalo Bill powędrował dalej i niebawem dotarł do namiotu, w którym znajdowała się Malk-wah-kee. W namiocie płonęło słabe światło, a przed namiotem dymiło małe ognisko.

Śnieg padał nieustannie i zasłaniał pole widzenia. Cody zbliżył się do wigwamu, ale postępował ostrożnie, gdyż obawiał się, że w okolicy mogą znajdować się ludzie Bawolego Czoła i Sępiego Dzioba.

Nie ulegało wątpliwości, że zbuntowani wodzowie przystali gońców do obozu, aby namówić młodych wojowników do przyłączenia się do rebelii. Atmosfera w obozie była bardzo naprężona, co nie wróżyła nic dobrego.

Buffalo Bill ostrożnie skradał się w kierunku wigwamu. Dokoła panowała zupełna cisza, ale nie należało ufać temu pozornemu spokojowi. Z za każdego wzgórza, z za każdej zasypanej śnieżną mową w każdym momencie wyskoczyć nieprzyjaciel.

Cody zatrzymał się wreszcie przed samym wigwamem, trzymając karabin gotowy do strzału. Zamierzał właśnie odchylić zasłonę i wejść do namiotu, gdy nagle przepadł do ziemi i zaczął się bez ruchu.

Tajemniczy wysłannicy

W odległości kilkunastu kroków zamajaczyły trzy postacie wojowników. W słabym blasku ogniska Buffalo Bill spostrzegł wyraźnie ich pióropusze i broń. Twarze ich były pomalowane na kolory wojenne plemienia Sjuksów.

Wojownicy znikli tak samo szybko, jak się pojawili. Co to miało oznaczać? Nie byli to przecież wojownicy Czerwonej Chmury, gdyż ci nie kryliby się w cieniu. Pozostała jedyna możliwość — przybyszami byli wysłannicy zbuntowanych wodzów.

Buffalo Bill nie wahał się ani chwili. Chciał dowiedzieć się za wszelką cenę, kim byli ci tajemniczy wojownicy. Zmienił taktykę i śmiało wyszedł na małe wzgórze, pragnąc, aby Indianie go spostrzegli. Chciał przekonać się, jak zareagują na jego widok.

Posuwał się powoli i ostrożnie, trzymając w ręku karabin, gotowy do strzału. Nagle przed nim wyrosło jak spod ziemi trzech rosłych wojowników, którzy bez żadnego uprzedzenia rzucili się na niego z podniesionymi nożami i tomahawkami.

Ale Buffalo Bill nie pozwolił się zaskoczyć. Był przygotowany na nagły atak i postanowił dać napastnikom nauczkę. Potężnym ciosem kolby powalił jednego z napastników na ziemię, któremu tomahawk wypadł z bezwładnej dłoni.

Cody odrzucił karabin i chwyciłszy tomahawk w locie, zaatakował pozostałych dwóch przeciwników. Po chwili obaj odnieśli rany i wycofali się szybko z pola walki, pozostawiając zemdłego towarzysza.

Ale powalony ciosem kolby Indian odzyskał przytomność i rzucił się znów na Buffalo Billa. Był to wojownik potężnego wzrostu i olbrzymiej siły. Chciał on schwycić wywiadowcę w swe straszliwe ramiona i zdusić go. Ale Buffalo Bill był godnym przeciwnikiem. Jeden potężny cios obuchem tomahawku i olbrzym zwałił się znów na ziemię.

Buffalo Bill wycofał się teraz ostrożnie i spostrzegł, że dwaj wojownicy wrócili, aby zabrać z sobą towarzysza. Po chwili dokoła zapanował znów spokój. Indianie zniknęli jak cienie.

Cody udał się teraz szybko w kierunku namiotu i wszedł do jego wnętrza. W kącie wigwamu spoczywała na posłaniu ze skór chora Indianka, a obok niej kłęzła młoda dziewczyna, która podawała chorej jakiś napój.

Obie kobiety spjrzały z niepokojem na przybysza, ale niebawem Malk-wah-kee poznała wywiadowcę i uśmiechnęła się przyjaźnie. Mimo kalectwa była ona bardzo piękna, a jej wielkie i żywe oczy zdradzały niepospolitą inteligencję. Pochyliła się jeszcze raz nad chorą, uspakajając ją zcicha.

— Wielki biały wódz jest zawsze miłym gościem — rzekła dziewczyna z uśmiechem.

Powstała od łoża chorej i zbliżyła się do wywiadowcy. Utykała trochę na jedną nogę, ale nie raziło to absolutnie.

— Trzeba przenieść tę kobietę do szpitala w agencji — rzekł Buffalo Bill. — Tu nie ma dla niej odpowiednich warunków. Znasz się doskonale na medycynie, Malk-wah-kee!

— Jutro przewieziemy ją do szpitala... — rzekła dziewczyna, dumna z pochwały wywiadowcy.

— Gdzie jest mąż tej kobiety? — zapytał Buffalo Bill. — Czemu zostawił ją tu samą?

— Mąż jej uciekł na Złe Ziemie wraz z moim bratem... Wszyscy wojownicy czynią to samo...

— Człowiek, który opuścił swą żonę, zasługuje na karę — rzekł Buffalo Bill poważnie.

Cody zakrzętnął się przy chorej Indiance i pomógł dziewczynie podać jej napój. Malk-wah-kee spjrzała uważnie na wywiadowcę i spostrzegła, że odzież jego była w nieładzie.

— Czy mój biały brat walczył z kimś? — zapytała z niepokojem.

— O, to nic ważnego... — rzekł wymijająco Buffalo Bill. — Zostałem napadnięty przez głodnego wilka i musiałem się bronić...

Cody nie chciał powiedzieć dziewczynie prawdy o wysłannikach zbuntowanych wodzów.

— Nie pytasz mnie wcale, po co przybyłem — rzekł po chwili.

— Czy przybyłeś, aby ze mną rozmawiać? Cóż ci mogę powiedzieć, biały wodzu?

— Nie domyślasz się?

— Może się domyślam, ale lepiej będzie, jeśli będziesz mi zadawał pytania.

— Malk-wah-kee — rzekł poważnie Buffalo Bill. — Przybyłem tu, aby dowiedzieć się o losie tej białej dziewczyny, którą porwał twój brat. — Została ona uprowadzona siłą.

— Czy chcesz ją oswobodzić, wodzu?

Buffalo Bill zastanowił się chwilę nad odpowiedzią i rzekł w końcu:

— Tak, chcę ją uwolnić.

— Kiedy wyruszasz w drogę?

— Jutro rankiem.

— A więc posłuchaj, wodzu. Biała squaw została porwana przez mojego brata siłą. Nie wierz żadnym pogłoskom, rozpowszechnianym przez naszych krewnych. Żal mi jej bardzo, bo była dla mnie dobra. Chciałbym, żeby jak najprędzej odzyskała wolność.

— Czy porozumiewasz się z twoim bratem? — zapytał rzeczowo Buffalo Bill.

— Tak.

— Czy chcesz oddać mi ważną przysługę? Powiedz mi wszystko, co wiesz o miejscu, w którym Bawole Czoło ukrył białą dziewczynę.

— Mój brat zabije mnie, gdy dowie się, że go zdradziłam! — zawołała dziewczyna.

— Nie dowie się o niczym, a ty uratujesz białą dziewczynę.

Indianka zamyśliła się głęboko, a wreszcie rzekła poważnym tonem:

— Jeśli przedrzesz się przez dwie linie straży przedniej Sępiego Dzioba i dotrzesz do wielkiego wigwamu, dowiesz się znacznie więcej, niż ja ci powiedziałam.

— Co ukrywasz? — zawołał Buffalo Bill.

Malk-wah-kee rzekła stanowczo, potrząsając głową:

— Nie mogę powiedzieć ani słowa więcej! Przy sięga wiąże moje wargi... Żegnaj, wielki biały wodzu!

Buffalo Bill wzruszył ramionami i rzekł:

— Żegnaj, moja czerwonoskóra siostrzyczko! Kiedyś znów się zobaczymy?

— Może wcześniej, niż się tego spodziewasz, wodzu! — rzekła tajemniczo dziewczyna.

Buffalo Bill zamyślił się i rzekł po chwili:

— Twoje miejsce nie jest tutaj, Malk-wah-kee! Powiedz mi, co mogę dla ciebie uczynić? Jak mogę ci pomóc?

Oczy Indianki zabłysły.

— Chciałabym być bardzo mądra! — zawołała z zapalem. — Chciałabym nauczyć się, jak pomagać chorym, tak jak pomagają im biali lekarze!

— Więc moja siostra chciałaby zostać lekarką? — uśmiechnął się Buffalo Bill. — To wcale nie jest niemożliwe. Gdy skończy się walka, postaram się, abyś mogła wyjechać do szkoły, a potem, jeśli o-

każe się, że masz zdolności, będziesz uczyła się dalej i kto wie, czy nie zostaniesz pierwszą czerwonoskórą lekarką. Uczynię w tym kierunku wszystko, co będzie w mojej mocy.

Buffalo Bill pożegnał indiańską dziewczynę i wrócił do Jacka, który siedział zły w wigwamie starych Indianek.

— Myślałem, że mnie zabiją wzrokiem... — mruknął. — Patrzą z podelba, jak dzikie zwierzęta... To jest głupie!

— Czy dowiedziałeś się czegoś? — zapytał Cody.

— Tak! Powiedziały mi, że jestem przeklętą bladą twarzą. To już wiedziałem od dawna.

— Co tam masz za pazuchą?

— To suknia squaw. Kupiłem ją od jednej z tych wiedzów za pół paczki tytoniu. Przyda nam się może w przyszłości... Widziałeś przecież Ludwika Wioślara przebranego za squaw.

— To niezła myśl!... — uśmiechnął się Cody. — Zobaczymy, czy ta suknia się nam przyda.

Wywiadowcy ruszyli z powrotem. Wszystkie wigwamy pogrążone były w zupełnej ciszy. Młodzi wojownicy zniknęli z obozu, a stary Czerwona Chmura siedział w dalszym ciągu przy ognisku i palił fajkę. Cody zbliżył się do starca i rzekł poważnie:

— Wielki wódz pozwala, aby w jego obozie krzewiła się zdrada i bunt!

— To nieprawda! — zawołał wódz.

— A jednak tak jest! Gdzie podziali się młodzi wojownicy? Słuchali pieśni wojennej i tańczyli tańiec wojenny, a potem uciekli. Sam natknąłem się na trzech wysłanników Sępiego Dzioba!

— Co? — zawołał wódz, zerwawszy się na równe nogi.

Buffalo Bill nie odpowiedział, lecz szybko opuścił obóz wraz z towarzyszem. Z oddali dochodził ich hałas z obozu Indian, którzy byli bardzo podnieceni i naradzali się hałaśliwie. Wywiadowcy dotarli wkrótce do chaty, w której czekali już ich towarzysze.

Czerwony Tomahawk był ponury jak noc. Nie zdołał nic wydobyć od Małego Psa, który był sprytniejszy od niego i nie odpowiedział na żadne pytanie. Indiański wywiadowca znalazł jednak u Małego Psa strój, noszony przez wojowników podczas tak zwanego „tańca duchów“. Czerwony Tomahawk skradł po prostu ów strój, ponieważ sądził, że będzie mu on kiedyś potrzebny.

— Dobrze uczyniłeś! — rzekł Buffalo Bill. — Wprawdzie kraść nie należy, ale na wojnie uchodzi wszystko! A więc, jutro wyruszamy. Wiadomości mamy niewiele, ale trudno. Damy sobie jakoś radę. Musimy jednak pomyśleć o naszym przywódcy Tomie Traversie.

Wywiadowcy wybuchnęli śmiechem.

— Ten młody dureń nie dotrzyma nam kroku! — zawołał Charley. — Będziemy z niego mieli pociechę..

— On głupi, ale bogaty — zauważył Czerwony Tomahawk, wymachując swym nożem do skalpowania. — Nauczę go, jak się skalpuje i dostane dużo pieniędzy.

— Wspaniały projekt! — roześmiał się Buffalo Bill. — Musimy przygotować kilka par ciepłych skarpetek, aby naszemu komendantowi nie zmarzły nogi!..

Walka na prerii

Nazajutrz rano Buffalo Bill i jego towarzysze znajdowali się przed budynkiem agencji, gdzie mieszkał Tom Travers. Nasz bohater ukazał się wreszcie w towarzystwie pani Jernyngham. Był uzbrojony od stóp do głowy i wyekwipowany, jakby miał zamiar udać się na biegun północny. Miał minę pencyzara, który prowadzi całą armię do boju.

Właśnie kłaniał się po wojskowemu wywiadowcom, gdy nagle wzrok jego padł na potężną postać Czerwonego Tomahawka, który przybrany był w strój wojownika, wyruszającego na wyprawę. Tom pobladł straszliwie i cofnął się o krok.

— Wielkie Nieba! — zawołał ze strachem, kryjąc się za korpulentną postacią pani Jernyngham. — Tam... Indianin... wojownik... dziki i uzbrojony!..

Buffalo Bill mrugnął na swych towarzyszy i wszyscy zachowali powagę.

— Tak, panie Travers — rzekł Buffalo Bill. — To rzeczywiście Indianin i do tego uzbrojony. Ale to nie jest nasz wróg, lecz wywiadowca i mój przyjaciel. Weźmie on udział w naszej wyprawie.

— Ależ... tak, naturalnie... — wybełkotał bohater Anglik. — Ale zawsze... przecież to jest... Indianin...

— Bez najmniejszej wątpliwości — rzekł poważnie Buffalo Bill. — Każde dziecko pozna, że to prawdziwy Indianin. Ale to nasz wierny przyjaciel. Mam nadzieję, że ujrzymy dziś jeszcze więcej Indian, ale to nie będą już nasi przyjaciele.

— To... to bardzo zabawne... — wybełkotał Tom.

Młodzieniec odprowadził na bok Codyego i począł mówić:

— Widzi pan, panie Cody, że co innego jest strzelać do Indian, a co innego przebywać cały dzień w towarzystwie takiego draba. Jemu źle patrzy z oczu. Nie wyobrażałem sobie wcale, że... że ten...

— Czerwony Tomahawk — rzekł spokojnie Cody.

— Właśnie... Czerwony Tomahawk!... To straszne imię. Niech pan sobie wyobrazi, że ten dzikus nagłe oszaleje. To byłoby straszne.. Przecież może mnie... tego... jak to się nazywa?.. Aha! Oskalpować!... To potworne!

— Nie mogę panu zagwarantować, że Czerwony Tomahawk będzie spokojny — rzekł Buffalo Bill poważnie, choć krztusił się ze śmiechu. — Owszem, ten człowiek bardzo lubi skalpować. Ba! Jest mistrzem w skalpowaniu. Pan ma bardzo ładny kolor włosów i przypuszczam, że mojemu przyjacielowi bardzoby się pańska czupryna spodobała. Zdaje mi się, że ten odcień brakuje mu właśnie do kolekcji.

— To straszne!..

— Niech się pan nie niepokoi — rzekł Buffalo Bill. — Gdyby się panu stała jakaś krzywda, przysięgam, że pana pomszczę. No, ale muszę przyznać, że Czerwony Tomahawk bardzo ceni skaby, a jeżeli chodzi o ten kolor, to nie będzie się mógł chyba oprzeć pokusie.

Cody spojrzał spod oka na popadłą twarz bohatera obu półkul, nieustraszonego pogromcę lwów.

— Co zaś do wrogich nam Sjuksów, to, rozumie pan, że nie mogę za nic ręczyć — ciągnął dalej. — Bardzo mi przykro o tym mówić, ale ci dranie mają szczególną słabość do czupryn, które świeżo przyłyły z zagranicy. Nasze włosy, znają już do-

brze. Jeśli więc dojdzie do walki, każdy z nas będzie musiał liczyć na siebie. A musi pan wiedzieć, panie Travers, że Indianie są niezwykle zręczni, jeśli chodzi o zdejmowanie skalpów. To po prostu artyści. Oczywiście, że nie są oni zupełnie pozbawieni ludzkich uczuć i nie chcą zadawać bólu przy dzieraniu skąpu, przeważnie zabijają najpierw swą..

— Ach! Ach! — wrzasnął nagie Tom Travers, chwytając się za nogę.

— Czy pan jest cierpiący? — zapytał grzecznie Buffalo Bill.

— Mój drogi Tomie! — rzekła z dystynkcją pani Jernyngham. — Co ci dolega?

— Ach, jak to boli, jak to strasznie boli! — wył młodzieniec. — Ach, ach!... To ta stara rana... Nie będę mógł dziś dosiąść konia... Ach, będę musiał się położyć... To pewnie potrwa długo.. Znam tę chorobę!

— Ja też — rzekł spokojnie Buffalo Bill. — Ale możemy poczekać do jutra. Może stan pański się polepszy?

Ale straszliwy pogromca wszystkich bestii świata potrząsnął energicznie głową i zawołał:

— Nie, nie! To może potrwać kilka dni... Tylko lotki... Ach, ach!... Jak to boli!...

Jęcząc i narzekając młodzieniec wycofał się szybko do wnętrza domu i nie po raz już więcej.

— Biedny Tom — rzekła ze współczuciem szacowna dama. — Ma tak delikatne zdrowie. Jaka szkoda, że nie będzie mógł wyruszyć na wyprawę... Teraz będę niespokojna o wasz los. Czy aby dacie sobie sami radę?

— Spróbujemy... — mruknął Jack Russel.

Buffalo Bill nie mówił nic, bo obawiał się, że wybuchnie śmiechem.

— Jedźcie z Bogiem! — zęgnęła wywiadowców dama. — Uczynicie wszystko, aby wydrzeć moją siostrzenicę ze szponów tych lotrów.

— Na koni! — zakomenderował Buffalo Bill. — Mamy nadzieję, że do naszego powrotu pan Travers wróci do zdrowia.

Wywiadowcy oddalili się galopem i niebawem budynki agencji znikły im z oczu. Wtedy wszyscy jak na komendę zatrzymali konie i wybuchnęli głośnym i serdecznym śmiechem. Przerażone konie poczęły stawać deba.

— Przestańcie już, chłopcy! — zawołał Buffalo Bill. — Przestańcie, bo kto wie, czy nasz bohater nie rozchorował się doprawdy...

Odnawiał mu nowy huragan śmiechu. Czerwony Tomahawk śmiał się najgłośniej, gdyż wiedział, że Tom Travers najbardziej przeraził się jego.

„Choroba“ Toma Traversa

Wywiadowcy posuwali się teraz wśród śnieżnej zawiei. Znajdowali się już na obszarze Złych Ziemi, pełnych zbuntowanych plemion indiańskich. Wiedzieli, że na każdym kroku czyha niebezpieczeństwo i trzymali ciągle broń w pogotowiu.

Przeprowadzali się właśnie przez mały strumień, zwany White River, gdy nagle Ludwik Wioślarz dał sygnał alarmu. Mały oddział zatrzymał się natychmiast za jakąś skałą i oczekiwał pojawienia się wroga.

Nieprzyjaciel pojawił się wreszcie. Był to potężnego wzrostu wojownik indiański, posiadający dzikiego mustanga, który pędził po prerii wściekłym galopem. Wywiadowcy przygotowali broń, gdy nagle Buffalo Bill zawołał:

— Hej, przyjaciele! Nie marnujcie amunicji! Ten człowiek nie żyje!

Cody nie mylił się. Wojownik był martwy i trzy mał się na siodle tylko dlatego, że po prostu... przy marzył do niego. Ludwik Wioślarz wysunął się na przód, aby zbadać okolicę.

— Co widzisz? — zapytał Buffalo Bill.

— Indianie! — odparł lakonicznie Metys. — Pędzą, co koni wyskoczy!

Po chwili obok kryjówek wywiadowców prze walił się galopem oddział Czerwonoskórych, którzy tak uciekali, że nie zwrócili nawet uwagi na białych. Ledwo Indianie zniknęli za horyzontem, gdy ukazał się oddział jeźdźców w błękitnych bluzach. Cody poznał ich od razu.

— Porucznik Casey na czele indiańskich wywiadowców! — zawołał. — Sjuksowie czują, że będzie im gorąco!

Porucznik Casey zaszalował w przejeździe wywiadowcom i oddział jego przewalił się jak burza za uciekającymi Sjuksami. Wywiadowcy ruszyli spokojnie dalej. Ludwik Wioślarz ciągle posuwał się przodem, jako straż przednia oddziału. Nagle zatrzymał się i dał znak, że znów zbliża się nieprzyjaciel.

Buffalo Bill wysunął się do przodu, spojrzał na zbliżających się Indian i zawołał:

— To nie są wrogowie! To całe plemię Kruków, którzy udają się do Pine Ridge. To nasi sprzymierzeńcy. Na czele posuwa się wódz Rączy Jeleń. Zaraz się z nimi dogadamy...

Po chwili wódz wymieniał serdeczne powitania z wywiadowcami. W czasach pokoju Rączy Jeleń był wielkim i poważnym wodzem, ale teraz, gdy topór wojenny został wykopany, większe wpływy zyskał Sępi Dziób.

— Rączy Jeleń był rozgorączkowany.

— Spójrz, wielki biały wodzu! — rzekł do Buffalo Billa. — Gdy opuszczałem moją siedzibę, plemię liczyło trzystu wojowników, a teraz nie ma ich więcej, jak stu. Reszta uciekła do tych psów, którym marzy się walka z bladymi twarzami. Nie można polować na prerii, na której toczy się walka i dlatego musimy wraz z resztą plemienia udać się do agencji w Pine Ridge, aby blade twarze dały nam zapasy mięsa... Zegnaj, Buffalo Billu!

Karawana Indian oddaliła się z wolna w stronę Pine Ridge, a wywiadowcy pozostali na miejscu, pograżeni w rozmyślaniach. Ale czas naglił i mały oddział ruszył w dalszą drogę, która stawała się coraz cięższa.

Konie zapadały w zaspę śnieżną i z trudnością postępowały naprzód. Nie była to już jazda, lecz wolne i niezdarne posuwanie się naprzód. Wywiadowcy zdolali przebyć zaledwie pięć mil w zółwim tempie, gdy Jack, który wysunął się naprzód, począł dawać rozpaczliwe znaki rekoma.

— Co się stało? — zapytał Buffalo Bill. — Czy znów nasi gonią Indian?

— Przeciwnie! Teraz Indianie gonią kogoś z naszych!

Wywiadowcy szybko skryli się za blokiem skalnym i przygotowali broń. Niebawem rozległ się tętent kopyt i ukazał się uciekinierzy. Było ich sześciu a na ich czele posuwał się Metys, wywiadowca, nazwiskiem Joe Biddle.

— Hej, Joe! — zawołał Buffalo Bill. — Do nas!

Uciekinierzy spostrzegli wywiadowców i niebawem znaleźli się za skałą, obok nich.

— Do pioruna! — zaklął Biddle. — Serdecznie dziękuję, Buffalo... Myślałem, że już nas mają... To się nazywa pomoc w ostatniej chwili...

Joe Biddle był małym, czarniawym człowieczkiem, ale bardzo muskularnym i dzielnym do szaleństwa. Odsapnąwszy nieco, mówił dalej:

— Te draby są już w pobliżu... Jeszcze kilka minut, a dopadliby nas i... — Joe uczynił znaczący ruch, oznaczający skalpowanie. — Hej, Jack! I ty tu? I ty, Charley, a nawet widzę tu naszego przyjaciela Czerwonego Tomahawka. No... teraz Sjuksowie będą się mieli spyszna, gdy tu wpadną! Będą zmykali, jak zające!

Tymczasem nadjechała straż przednia Sjuksów. Zatrzymali się oni zdumieni, gdyż spostrzegli, że uciekinierzy zniknęli w tajemniczy sposób. Nagle jeden z wojowników wydał lekki okrzyk. Dojrzał za skałą człowieka.

— Myślą, że mają do czynienia tylko z wami... — mruknął Buffalo Bill. — Zobaczymy czy zaatakują.

— Przypuszczam, że zauważą również naszą obecność, zwłaszcza, gdy zaczniemy strzelać — mruknął Jack Russel.

Indianie wydali okrzyk wojenny i rzucili się w kierunku skały, za którą ukrywali się uciekinierzy i wywiadowcy. Czerwonoskórzy przypuszczali, że nie natrafiają na opór i odniosą łatwo zwycięstwo.

Jakież było ich zdumienie, gdy zamiast sześciu karabinów, powitało ich salwą aż dziesięć.

Straż przednia Indian zatrzymała się raptownie i ich siła główna wpadła na skałę, za którą ukrywali się wywiadowcy. Zasadzka była wspaniała. Sjuksowie zostali zasypani gradem kul i poczęli się cofać w popłochu.

Zatrzymali się na prerii i poczęli się naradzać. Wreszcie jeden z nich zbliżył się sam do obleżonych za skałą. Na karabinie miał zatkniętą białą chustkę. Buffalo Bill szepnął do Joe Biddlea:

— To Wielki Kruk, podwładny Sępiego Dzioba. Uważaj, Joe! Gdy będzie coś mówił, ty mu odpowiesz... Nie powinien wiedzieć, że tu jestem... To będzie niespodzianka...

Indianin zbliżył się i zawołał na cały głos:

— Poddajcie się, blade twarze, a darujemy wam życie!.. Jeśli chcecie walki, zginiecie marnie, a wasze skalpy zawisną na palach naszych wigwamów!

— Nie poddamy się psie! — zawołał Joe Biddle. — Jeśli masz ochotę na nasze skalpy, możesz je sobie wziąć, jeśli potrafisz! Mamy dla was dość kul, przekłete gady!

Sjuks roześmiał się szatańsko, zawrócił konia i szybko popędził ku swoim. Był pewny, że zwycięstwo Indian nie ulega wątpliwości.

— Naprzód, wojownicy! — zawołał do swoich. — Ich skalpy należą do nas!

— Mierzyć uważnie... — doradzał przyciszonym głosem Buffalo Bill. — Czekać na moją komendę. Damy ognia gdy będą już blisko...

Czerwonoskórzy pędzili wprost na skałę, przypuszczając, że uda im się pokonać białych wstępnym atakiem. Każdy z nich chciał być pierwszy i zdobyć jaknajwiększą ilość skalpów. Stłoczyli się wszyscy przed skałą i konie ich poczęły stawać dęba.

Buffalo Bill uznał, że odpowiednia chwila nadeszła.

— Ognia! — zakomenderował grzmiącym głosem.

Dziesięć karabinów przemówiło jednocześnie, szerząc posrach i zniszczenie w szeregach nieprzyjaciela. Wśród Indian zapanowało straszliwe zamieszanie. Ponieważ wszyscy wojownicy pchali się do przodu, a kule wywadowców powaliły kilka koni, wielu jeźdźców przewróciło się i zostało przygniecionych końmi.

Sjuksowie rzucili się do panicznej ucieczki, zwiększając jeszcze zamieszanie w swych szeregach. Wreszcie udało im się zawrócić i rzucili się do ucieczki, wrzeszcząc przeraźliwie.

Wzbawienie

Indianie nie odjechali jednak daleko. Wiedzieli, że mają przewagę liczebną nad przeciwnikiem i postanowili przeprowadzić regularne oblężenie. Buffalo Bill widząc, jak zgrupowali się na pobliskim wzgórzu i poczęli się naradzać z ożywieniem.

Cody rozumiał, że sytuacja staje się krytyczna. Jeśli Indianie ponowią kilkakrotnie ataki, zwyciężą w końcu białych, których przewyższali trzykrotnie liczbą. Ale sytuacja zmieniła się nagle na korzyść wywiadowców.

Buffalo Bill spostrzegł nagle, że wśród Sjuksów znów powstało zamieszanie. Ze wzgórza poczęły dobiegać dzikie okrzyki w których brzmiała rozpacz i przerażenie. Po chwili Indianie poczęli uciekać na wszystkie strony jak stado wron przed jastrzębiem.

Oblężeni nie zdawali sobie jeszcze sprawy z tego co było przyczyną popłochu wśród Indian, gdy nagle w pobliżu rozległy się strzały.

— Hurra! — zawołał z radością Joe Biddle, podrzucając kapelusz do góry. — To kapitan Taylor ze swymi chłopcami!.. Jesteśmy uratowani! Mają ich już... Już wpadli na nich z impetem i kropią, aż miło!

Wywiadowcy wypadli ze swej kryjówki i ujrzeni na rozległej płaszczyźnie między wzgórzami walkę ludzi kapitana Taylora z Indianami. W walce tej nie mogli zdobyć Indianie skalpów... Żołnierze pędzili za nimi jak charty za zającami. Buffalo Bill rozumiał, że dla wywiadowców nie ma na polu walki nic do roboty. Gdy nasi przyjaciele zbliżali się do oddziału wojska, które poczęło znów gromadzić się obok swego dowódcy, na spotkanie wyjechał kapitan Taylor, który z ust Joe Biddlea dowiedział się o przygodach wywiadowców.

Ale nie było czasu na długie rozmowy. Wojsko i ludzie Joe Biddle'a pojechali swoją drogą a Buffalo Bill na czele swego małego oddziałku udał się w dalszą drogę. Kraj stał się teraz górzysty i kopyta końskie co raz częściej ślizgały się na skałach. Buffalo Bill zatrzymał się przed pasmem gór i rzekł:

— Oto właściwe Złe Ziemie. To, co przeżyliśmy dotychczas było tylko zabawką w porównaniu z tym co nas jeszcze czeka. Mamy przed sobą najniebezpieczniejszą i najuczciwszą część drogi. Teraz nie będziemy mogli odnaleźć żadnego śladu, gdyż za chwilę zapadnie noc. Przed nami pustynia śnieżna. Nie mamy wody dla koni, a dokoła roi się od wrogów. Uważać, chłopcy i nie pozwolić się zaskoczyć.

Towarzysze wywiadowcy nie odpowiedzieli, lecz zmusili konie do szybszego galopu. Buffalo Bill uśmiechnął się. Zrozumiał, że może liczyć na swoich przyjaciół.

Droga znów stała się ciężka, gdyż prowadziła pod górę. Wiatr dał straszliwie, a mróz kasał straszliwie. Ścieżka, którą posuwał się mały oddział, pięła się ku górze serpentynami. Trudno było przebyć ją za dnia, a tymczasem słońce ukryło się za horyzontem i ciemność gęstniała co raz bardziej.

Szczyty gór połyskiwały jeszcze w ostatnich blaskach dnia, gdy Charley wysunął się na czoło pochodu. Znał on dobrze tę część drogi i objął przewodnicwo. Posuwano się zygzakiem, gdyż ścieżka stawała się co raz bardziej spadziasta. Nagle Charley zatrzymał się, a za nim zatrzymała się reszta wywiadowców.

Zanim ktokolwiek zdołał się zorientować Charley zawrócił konia i po chwili znajdował się obok Buffalo Billa. Jack, który zrozumiał, że znów zanosi się na spotkanie z Indianami, począł kłać na czym świat stoi.

— Niech diabli porwą wszystkich Indian na świecie! — zawołał. — Czy nie dadzą nam nigdy spokoju?

— Nie wszystkich Indian, bo ja też jestem Indianinem — rzekł spokojnie Czerwony Tomahawk. — Nie pozwolę się obrażać...

— Co tam znów, Charley? — zapytał Buffalo Bill. — Znów zabawa?

— Coś w tym rodzaju, Buffalo... Indianie są przed nami...

— Żeby powpadali wszyscy w przepaść! — zawołał Jack. — Przeklęte robactwo.

— Ilu ich jest? — zapytał Cody.

— Bardzo dużo — odparł Charley. — Ale wydaje mi się, że uciekają... Patrzcie! Żołnierze gonią ich na całego! Musimy się jednak schronić. Za kilka minut uciekinierzy spadną nam na kark.

Po chwili wywiadowcy ukryli się za skałą i przyczaili się z karabinami w pogotowiu. Konie, przyzwyczajone do walki, położyły się na ziemi obok swych panów, tak że nieprzyjaciel nie mógł nic zauważyć, zwłaszcza, że było już dość ciemno.

Wreszcie pojawili się indiańscy uciekinierzy. Pędzili co tchu przed siebie, popędzając niemiłosiernie konie. Buffalo Bill zwrócił uwagę na pewną grupę jeźdźców, której zachowanie wydawało mu się dziwne.

Był to oddział wojowników, otaczających ze wszystkich stron niewielką grupę squaw. Jack, który stał obok Buffalo Billa z bronią gotową do strzału, chwycił go nagle za rękę i rzekł:

— Patrz, Bill! A to co takiego?

— To ciekawe... — mruknął Buffalo Bill. — Przecież to nie może być...

Wśród indiańskich squaw sokołe oko wywiadowcy dostrzegło mimo gęstniejącej ciemności zarys jakiejś postaci. Była to kobieta a raczej dziewczyna... Nie można było odróżnić koloru jej skóry, ale Cody był pewny, sądząc ze sposobu, w jaki siedziała na koniu, że jest to biała kobieta.

Strój jej nie był również indiański, a raczej przypominał odzienie turystów w górskich okolicach zimą. Buffalo Bill wyżył wzrok i przekonał się, że tajemnicza dziewczyna była traktowana jako jeniec. Była przywiązana do siodła przy pomocy lasso, a obok niej cwałowało dwóch rosyłych wojowników, którzy jej pilnowali.

Tuż za dziewczyną galopował na wspianym koniu wódz w potężnej postawie i wielkim piropuszu. Twarz jego, choć pokryta barwami wojen-

nymi, odznaczała się regularnością rysów i znamionowała inteligencję i spryt.

Za wodzem pędziło kilkunastu wojowników, pełniących prawdopodobnie straż przy osobie swego przywódcy i jego branki. Stanowili oni straż tylną tego dziwnego orszaku. Rozglądali się trwożnie dokoła, jakby obawiali się zasadzki.

Strzały karabinowe rozlegały się już w pobliżu. Indianie pochyliłi się niżej na siodłach i popędzali konie co sił. Żołnierze, którzy ścigali Indian, musieli być bardzo liczni, gdyż Czerwono-skórzy uciekali w straszliwym popłochu. Tylko grupa wojowników, otaczająca brankę, trzymała się dzielnie.

Gdy jakiś oddział żołnierzy wypadł z boku, grupa ta ostrzeliwała się, aby natychmiast zmienić kierunek i pędzić co koń wyskoczy dalej. To zachowanie się zdziwiło wywiadowców. Czy Buffalo Billa padły na twarz młodego wodza i nagle Cody zrozumiał.

— Niech mnie oskaipują, jeśli to nie jest Bawole Czoło! — zawołał.

— To on! Poznaje go! — dodał Jack Russel.

— Bawole Czoło! — oświadczył Czerwony Tomahawk z pewnością w głosie.

Również Charley i Ludwik Wioślarz poznali w młodym wodzu straszliwego i przewrotnego Bawole Czoło.

— A więc ta dziewczyna to Bianka Delmar! — zawołał Buffalo Bill.

Buffalo Bill rozumiał teraz wszystko. Widocznie Bawole Czoło natknął się na silny oddział wojska i obawiając się walki, postanowił wycofać się wraz ze swą branką. Obecnie natknął się na Buffalo Billa, nie wiedząc o tym wcale.

W chwili gdy oddział Indian przejeżdżał tuż obok kryjówki naszych przyjaciół, branka zawołała na cały głos:

— Ratunku!... Na pomoc!... Ratujcie!...

Do stu tysięcy piorunów! — zaklął Jack.

W tej samej chwili od strony galopujących Indian padł strzał. Strzelał Bawole Czoło, który dostrzegł pierwszy wywiadowców za skałą. Jack porwał za karabin, ale Buffalo Bill powstrzymał go okrzykiem:

— Nie strzelaj! Przysięgam ci, że daruję mu życie! Pamiętajcie, chłopcy! Nie wolno wam strzelać do Bawolego Czoła.

Tymczasem Indianie oddalali się co raz bardziej i zdawało się, że dziewczyna pozostanie w rękach wodza, ale Buffalo Bill czuwał. Jednym skokiem znalazł się obok swego konia, porwał lasso i okręcił je nad głową.

Długi sznur świsnął w powietrzu, zatoczył szeroki łuk nad głową Bianki Delmar i opadł na jej ramiona. Lasso zacisnęło się na kibici dziewczyny, której koń, zatrzymany nagle, stanął dęba.

Buffalo Bill wiedział, że dziewczyna doznała wielkiego wstrząsu, ale nie miał innego sposobu. Dwóch wojowników, którzy galopowali po obu stronach dziewczyny, zatrzymało się również gwałtownie, a wtedy Buffalo Bill dwukrotnie dał ognia i dwa konie zwały się na ziemię.

W orszaku powstało niebywałe zamieszanie. Bawole Czoło podbiegał do leżącej na ziemi dziewczyny i chciał ją podnieść, ale uirzawszy w pobliżu Buffalo Billa postanowił zrezygnować.

Zawrócił szybko konia i oddał się za swoich, którzy byli już daleko. Jeszcze chwila i młody wódz zniknął w ciemności.

Bawole Czoło zginąłby napewno, gdyby nie to, że Buffalo Bill zabronił do niego strzelać. Wspa-



Obstrukcja niszczy organizm. Pozostałości pokarmów w żołądku i przewodzie pokarmowym są niebezpiecznymi składnikami, zatrzymującymi nasz organizm. Przewodzący zioła „ASMIDAR” działają szybko i pewnie. Nie zwlekajcie i dziś jeszcze kupcie torebkę ziół „ASMIDAR” za 25 groszy. Do nabycia we wszystkich aptekach i drogeriach.

niałomyślności wywiadowcy zawdzięczał swe nędzne życie.

Buffalo Bill przestał się narazie interesować pościgiem. Podbiegł szybko do miejsca, w którym spoczywała, przygnieciona koniem Bianka Delmar. Wydobyl szybko dziewczynę i zapytał:

— Czy panna Delmar?

Dziewczyna podniosła na niego oczy i rzekła słabym głosem:

— Tak, jestem Bianka Delmar... Dzięki Bogu, że wydarł mnie pan z rąk tego potwora!... To nie sen? Czy to możliwe?!

Buffalo Bill usiłował uspokoić dziewczynę, ale ta była tak wyczerpana strasznymi przeżyciami, że straciła przytomność.

Ale Bianka Delmar była ocalona. Wśród żołnierzy znajdował się lekarz wojskowy, który udzielił jej natychmiast pomocy i dziewczyna powoli zaczęła odzyskiwać przytomność. Przerywanym głosem opowiedziała Buffalo Billowi swą smutną historię.

Bawole Czoło porwał ją z nienacką i wywiózł daleko w prerię. Twierdził, że się z nią ożeni i że w ten sposób uzyska większe wpływy wśród Indian.

— To straszny człowiek... — łkała biedna dziewczyna. — Ma on w niewoli jeszcze jedną białą dziewczynę... To moja przyjaciółka... Nie wiem, jaki teraz będzie jej los!... Niech ją pan odnajdzie, Cody!...

Zakończenie

Następnego dnia Buffalo Bill, jego towarzysze oraz Bianka Delmar przybyli do Pine Ridge. Oczekiwali ich tam wszyscy z niepokojem. Pani Jernyngham rzuciła się w objęcia swej siostrzenicy i zaczęła płakać z radości.

Jeden tylko Tom Travers czuł się nieco niewyrażnie. Opowiadał on wiele o swej chorobie, ale nikt go nie słuchał, nie wyłączając Bianki. Buffalo Bill dowiedział się, że dziewczyna wcale nie kocha swego narzeczonego, który był faworytem ciotki. Znała go dobrze i wiedziała, że mimo pozorów jest tchórzliwy.

Pani Jernyngham była oburzona, że Bianka chłodno odnosi się do narzeczonego, ale musiała się wreszcie pogodzić z tym, że dziewczyna zrywa te niefortunne zaręczyny. Jaki był tego powód, wyszło na jaw dopiero później, gdy o rękę pięknej Bianki oświadczył się dzielny porucznik amerykański, którego dziewczyna poznała w Pine Ridge.

Tom Travers wyjechał oburzony, ale nikt go nie żałował.

Buffalo Bill nie zaprzestał poszukiwać przyjaciółki panny Delmar. Wiedział, że znajduje się jeszcze w ręku Indian. Czy poszukiwania te zakończyły się pomyślnie? Może dowiemy się o tym z dalszych dziejów naszego bohatera.

KONIEC

NIEBYWAŁA OKAZJA!

PRZYGODY TARZANA CZŁOWIEKA LESNEGO

8 tomów — 1240 stron

Cena za całość:

TYLKO 1 ZŁ 50 GR.

Do nabycia w Administracji
„WĘDROWCA”

w Łodzi, — ul. Piotrkowska 49
Konto P. K. O. 600.620

Cud techniki
nowoczesnej



**Automat-
Pistolet „Grom“**
kal. 6 m/m —



jest uznany przez znawców za najlepszy. Zabezpiecza od mimowolnego strzału. System belgijski, pięknie oksydowany. Repetuje się przed strzałem automatycznie wyrzuca gilzy. Huk kolosalny. Wykonanie luksusowe. Rekojeści wykładane masą bakelitową. Waga 200 gramów, długość 100 m/m., wysokość 65 m/m. Idealna obrona przed napadem i kradzieżą. Cena zł. 6.95. Dwie sztuki zł. 13.50. Sefka naboju system „Flobert“ zł. 3.65. Pozwolenie niepotrzebne. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. — Adresujcie: Przedst. Fabr. Pistoletów

Kazimierz Kołodziejczyk oddz. 2
Warszawa, I. Pl. Napol. skrz. poczt. 700 B. B

Czarna i biała magia

Każdy, kto chce wzbudzić sobą zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magii, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zreczności. Czarodziejska tablica. Lustro magiczne. Polykanie ognia. Płonąca woda. Podnoszenie wielkich ciężarów. Spiewająca flaszka. Jajo w butelce. Zaczarowana różdżka. Jak stać się niewidzialnym. Odnajdywanie ukrytych przedmiotów. Sztuki z rachunkami, z kartami. Seanse spirytystyczne. Każdy łatwo potrafi się nauczyć wszystkich sekretów. Wysyłamy łącznie z Czarna Magia różne ciekawe książki, komplet z 6 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. — Adresuj:



KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK oddz. 2

Warszawa, I. Pl. Napol. skrz. poczt. 700 B. B
UWAGA: Bezplatnie dodajemy książkę p. t. „Poznaj siebie i bliźnich!!!” Jak wróżyć z ręki i z palców, najnowsze sposoby wróżenia.

PALACZE TYTONIU

Ratujcie zdrowie. Nikotyna
zatrzuwa organizm



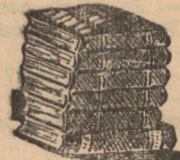
Możecie w sposób łatwy i przyjemny odzwyczaić się w ciągu 3-ch godzin od palenia. Zamówcie zaraz nasz wiodący papieros „IDEAL”, a ochronicie swe zdrowie przed niszczącym wpływem nikotyny. — Papieros „IDEAL” daje możliwość zaciągania się i oddziaływa zbawienne na błonę śluzową nosa i gardła. „IDEAL” wzmacnia i krzepi organizm, dając zadowolenie duchowe i fizyczne. Mnóstwo listów dziękczynnych. — Cena zł. 2.45. Płaci się przy odbiorze. Nie zwlekajcie! Zamówcie — póki nie jest zapóźno! Straconego zdrowia nie odzyskacie! Płaci się przy odbiorze. Wysyłamy na listę wne zamówienie

Adresuj:

Kazimierz Kołodziejczyk oddz. 2
Warszawa, I. Pl. Napol. skrz. poczt. 700 B. B

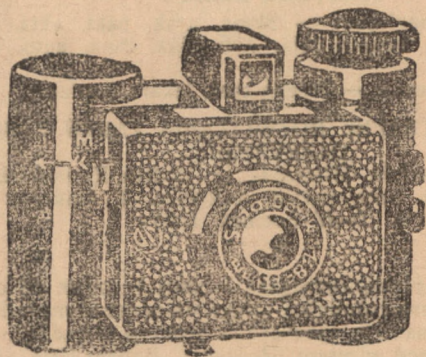


6 książek
pożytecznych
za bezcen



1) Adwokat doradca domowy. Wzory odwołań podatkowych skarg sądowych, podań do władz i urzędów. Sprawy egzekucyjne, majątkowe, eksmisyjne, rolne, budowlane, spadkowe, wekslowe kredytowe, wojskowe, małżeńskie. Wzory umów dzierżawnych ofert podań o pracę i t. p. — 2) Polski sekretarz dla wszystkich. Wzory listów prywatnych, ofert, podań, skarg i t. p. — 3) Zwyczaje i formy towarzyskie. Kodeks o dobrych obyczajach według wymagań życia. — 4) Tajemnice kobiet i mężczyzn. Książka interesująca wszystkich. — 5) Dr. Ostrowski. „Idealny środek zapobiegania ciąży”. Książka interesująca i pożyteczna. 6) Wyrocznia Arabsko - Chaldejska. Rewelacja słynnego medium, w/g której można otrzymać odpowiedzi na najpoważniejsze pytania. Cały komplet zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie. — Płaci się przy odbiorze. Adres:

KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, Oddz. 1
Warszawa, I. Pl. Napol. skrz. poczt. 700 B. B



NAJMILSZYM TOWARZYSZEM JEST

APARAT FOTOGRAFICZNY

Każdy może tanim kosztem nabyć doskonały aparat fotograficzny „SIDA” A. Aparat ten z wbudowanym wizerem optycznym posiada bardzo łatwą obsługę. Fotografować może nawet dziecko. Wyniki fotografowania doskonałe.

CENA REKLAMOWA ZŁ. 8.35,

wraz z błoną filmową na 10 zdjęć i pouczeniem. Futerał skórzany zł. 2.—. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj:

KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK,
WARSAWA, Pl. Napoleona, skr. poczt. 700. B. B.

CHWILKA HUMORU

KAWAL.

Ferdek i Merdek.

— Ferdziś, mam dla ciebie dobry kawał.. Czy potrafisz mi odpowiedzieć na trzy pytania pod warunkiem, że żadna z tych trzech odpowiedzi nie może zawierać słów „dziesięć”, „dziewięć” i „nie”?

— Naturalnie, że potrafię... — odpowiada Ferdek.

Merdek podnosi obie ręce do góry, wyprostowuje palce i pyta:

— Ile widzisz palców?...

— Jedenaście bez jednego... — odpowiada sprytnie Ferdek, unikając słowa „dziesięć”.

Merdek chowa jeden palec:

— A teraz?

— Osiem plus jeden...

— To ty znasz ten kawał?

— Nie...

— A widzisz, przegrałeś... Powiedziałeś „nie”!

POMOGŁO..

Pan Filip zachorował na oczy. Udał się więc do okulisty.

— Co panu dolega? — pyta lekarz.

— Nie wiem, panie doktorze, co to jest. Mam przed oczyma ciągle jakieś niewyraźne plamy...

Lekarz zapisał mu lekarstwo i rzekł:

— Zgłosi się pan do mnie po dwóch tygodniach.

Po dwóch tygodniach pan Filip zgłasza się do tego samego okulisty.

— No, jak tam?... Czy lekarstwo pomogło?

— O, tak, panie doktorze... — odpowiada pacjent. — Teraz już mam przed oczyma zupełnie wyraźne plamy...

ARYSTOKRATA.

Na podwórku rozmawiają dwie kury:

— Dlaczego ten nasz nowy kogut jest taki dumny i nie przystępny?

— Gdyż on pochodzi ze znakomitej rodziny...

— Cóż to za rodzina?

— Nie wiesz?... Jego pra-pra-prababka zniosła jajko Kolumba!

Z ŻYCIA GRAJDOLKA.

W Grajdolku otworzono bank ze specjalnym urządzeniem alarmowym dla kasjera. Wystarczyło, aby kasjer nacisnął nogą dzwonek, znajdujący się na podłodze, by policja została natychmiast zaalarmowana.

W dwa dni po założeniu tej instalacji zgłosił się do kasjera jakiś osobnik w masce z rewolwerem w ręku. Kasjer zdażył jeszcze nacisnąć dzwonek. W chwilę potem rozległ się telefon. Bandyta zdjął słuchawkę.

— Halo, tu posterunek policji... — powiada jakiś spokojny głos. — Panie szanowny, niech pan lepiej uważa, bo przed chwilą przez omyłkę nacisnął pan dzwonek alarmowy...

REBUS.

Piotruś zwraca się do ojca:

— Tatusiu, dam ci do rozwiązania rebus...

Malec rysuje na kawałku papieru koło i podaje ojcu, mówiąc.

— Zgadnij co to jest...

Ojciec głowi się bezskutecznie kilka minut. Wreszcie oświadcza zrezygnowany:

— Nie mogę tego odczytać...

— A to jest bardzo proste — wyjaśnia Piotruś... — Popatrz, tatusiu, czy tu są róże?

— Nie.

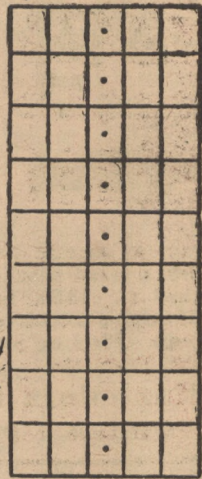
— A kolce?

— Też nie ma...

— No więc?... „Nie ma róży bez kolców”!

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Logoryf



W kratki podanej figury należy wpisać poziomo 9 pięcioletnich wyrazów o niżej podanym znaczeniu. Litery środkowe odgadniętych słów, czytane z góry na dół, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Kobieta niezamężna, 2. inaczej: robota, 3. władca murzyński, 4. instrument muzyczny cęty, 5. stolica b. Czechosłowacji, 6. strumień górski, 7. roślina, porastająca stepy, 8. inaczej: silny, 9. zachodnio-indyjskie drzewo, cenny materiał stolarski.

Figielek

Kiedy jest najwięcej dziur, skierowanych w stronę nieba?

Zagadka

Gdy w paszczę co chwyta —

To szczękami zgrzyta,

Zębów nie ma wcale,

Lecz rwie po kawale,

Nie polyka przecie.

Kto to, czy zgadnicie?

Wprost i wspak

Wprost — śmierć przynosi,

Wspak — mówi, kto prosi.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ ROZRYWKOWYCH Z NR. 74 „BUFFALO BILLA”.

Kwadraty magiczne: — Mapa, arak, pakt, akta, kasa, Amor, soba, kora (wsp.), sala, Apis, lina, asan, auto, Uran, tara, rano (wsp.).

Bilety wizytowe: — Dziennikarz, lekarz, profesor.

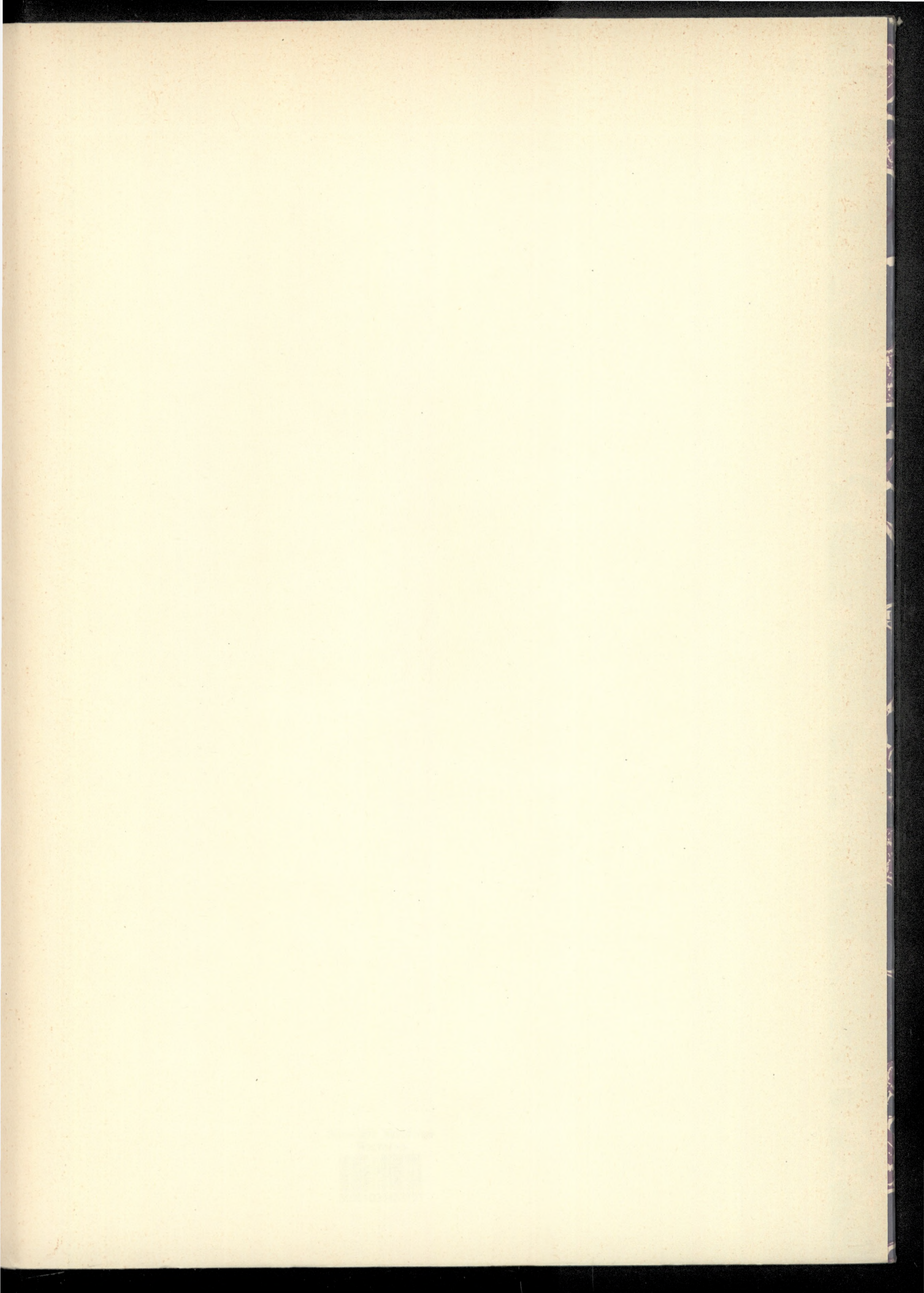
NAGRODY ZA TRAFNE ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NR. 74 OTRZYMALI:

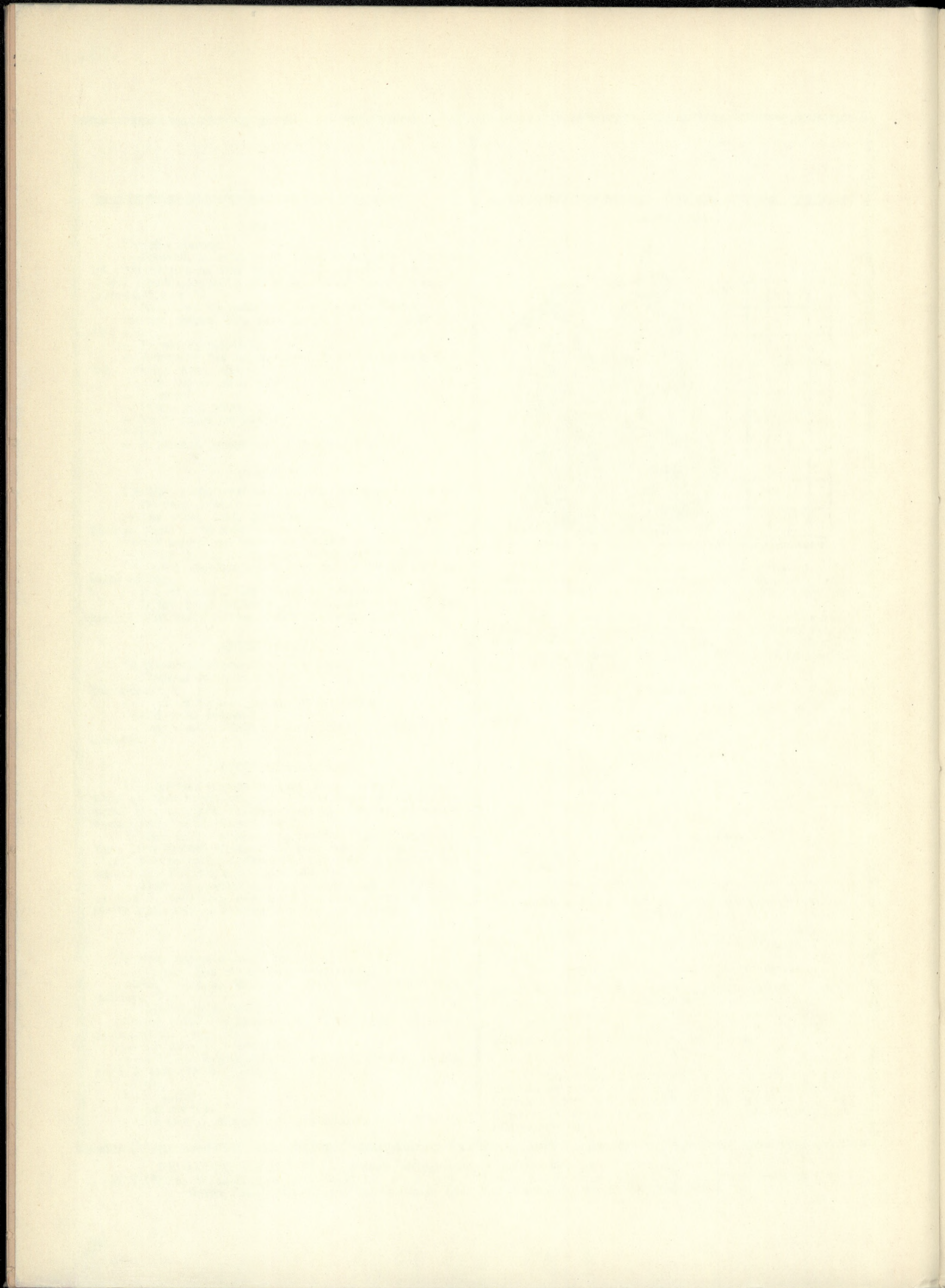
1. I. Finkielsztejn, Warszawa, 2. Roman Rydlowski, Toruń, 3. Kazimierz Szczurowski, Katowice, 4. Maurycy Riegelhaupt, Kraków, 5. Teofil Seeman, Lwów.

★

Termin nadsyłania rozwiązań — dwa tygodnie od chwili ukazania się numeru tygodnika. Nagrody uzyskać może każdy Czytelnik, który nadesłanie rozwiązanie jednego z zadań. Listy kierować należy pod adresem: Redakcja „Buffalo Billa”, Łódź, Piotrkowska 49.

REDAKTOR: Antoni Weiss. — Odpow. za ogłoszenia i reklamy Konstanty Losiew. Zamieszkał w Łódzi.
WYDAWCA: Wydawnictwo „Republika” Sp. z ogr. odp. — Odbito w drukarni własnej, Łódź, ul. Piotrkowska 49 i 64.
Konto P.K.O. 68.148, adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14. Redakcji — tel.





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001023453751





BN

BIBLIOTEKA
NARODOWA

623406

76

BN

BN

BN

BN